

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom II Filie obozu koncentracyjnego
Gross-Rosen
Zeszyt 5 Komando Dyhernfurth II

Na prawach rękopisu

Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Sródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa, tel. 296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1987

Zespół Redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Witold Kulisiewicz - kierownik Redakcji,
Roman Olszyna, Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman -
sekretarz Redakcji



przy współpracy:

250/bn

Tadeusza Berny /Wrocław/, Michała Czebłakowa, Haliny Dudowej,
Romana Gierka /Oborniki/, Jadwigi Gromackiej, Romana
Konarzewskiego /Poznań/, Stanisława Korby /Kielce/, Jana
Kosińskiego i Mieczysława Kwietnia /Lublin/, Stanisławy
Kozuchowskiej, Henryka Króla /Jelenia Góra/,
Stanisława Kuczewskiego, Alojzego Nowickiego /Inowrocław/,
Tadeusza Piórkowskiego, Bronisława Rudyka, Władysława Walczaka
/Kalisz/, Olgierda Schaefera - prezesa Klubu Grossroseniaków,
Bogdana Wierzejewskiego - prezesa Koła Nr 1 ZBoWiD,
Julii Wroczyńskiej

Projekt okładki:

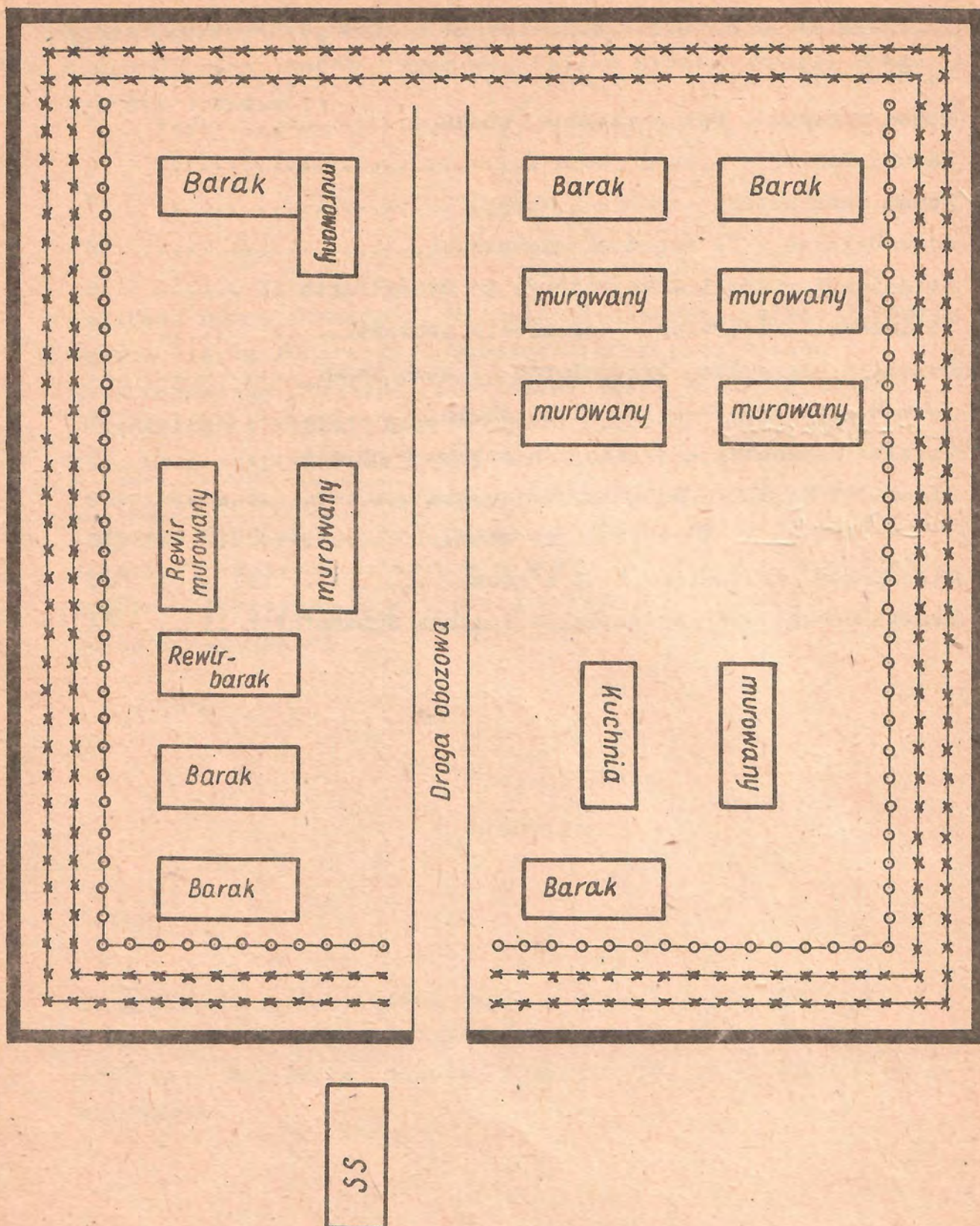
Włodzimierz Kern

Stanisław Kuczewski zmarł nagle w dniu 5 lipca 1987 roku
w Warszawie. Z głębokim żalem pożegnaliśmy naszego Kolegę,
ofiarnego działacza zespołu redakcyjnego, patriotę i prawego
człowieka.

SPIS TRESCI

	str
Od Redakcji	5
- Roman Olszyna - Szkic zabudowy obozu	4
- Edmund Pawlak - List z obozu	6
✓ Roman Konarzewski - Zamiast wstępu	7
Adam Dzierwa - Ze wspomień więźnia	12
Zbigniew Mariński - Moja droga do Dyhernfurth II	15
Kazimierz Kisielewicz - Wspomienia obozowe.....	18
Bolesław Usarewicz- Dyhernfurth II obóz kaźni	21
<i>by B. Usarewicz</i> <i>z w. a Dyhernfurth II</i> - Plan filii obozu.....	24
Czesław Szynański -Refleksja z pobytu w obozie.....	25
Stanisław Rajski - Droga przez kaźnie	29
<i>6. w. a Dyh. II</i> - szkic filii obozu.....	40
Mieczysław Liskiewicz- List z obozu.....	43
Henryk Uchman - Wykaz więźniów komanda Dyhernfurth II ..	44

Szkic zabudowy obozu Dyhernfurth II



opracowany przez Romana Olszynę, po konsultacji
z grupą warszawską więźniów Dyhernfurth II
Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.1.16

Obozy koncentracyjne w Dyhernfurth, utworzone przez komendaturę obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, były pierwszymi w ramach dostarczania niemieckiemu przemysłowi niewolniczej siły roboczej spośród więźniów obozu Gross-Rosen.

Zarówno obóz Dyhernfurth I jak i Dyhernfurth II utworzono w 1943 roku. Więźniowie pierwszego obozu pracowali bezpośrednio w produkcji, natomiast drugiego przy rozbudowie zakładów, utrzymaniu i remontach zakładowych obiektów.

Podstawowa masa więźniów, licząca kilka tysięcy osób, umieszczona była w obozie Dyhernfurth II. Z niewolniczej pracy tych więźniów korzystały liczne niemieckie przedsiębiorstwa prowadzące roboty w zakładach chemicznych I.G. Farbenindustrie i produkujące w tym czasie gazy bojowe.

Nie sposób jest oddać w pełni warunków w jakich żyli i ginęli więźniowie tych obozów. Prymitywne warunki obozowe, głód, praca ponad siły, fizyczny i psychiczny terror pogarszało przebywanie więźniów w środowisku skażonym substancjami trującymi. Nie jest zatem przypadkiem, że obozy koncentracyjne Dyhernfurth są uznawane za najbardziej tragiczne dla więźniów ze względów na ich związki z zakładami chemicznymi. Otoczenie zakładów oraz obozów ścisłą izolacją i tajemnicą sprawiło, że dopiero po wojnie ujawniły się zbrodnicze fakty, związane z tymi obozami.

Przez cały okres istnienia tych obozów, żywi więźniowie odbywali drogę tylko w jednym kierunku: z Gross-Rosen do Dyhernfurth; jedynie bowiem zwłoki zmarłych i pomordowanych przewożono z obozów w Dyhernfurth do obozowego krematorium w Gross-Rosen. Zmiana nastąpiła dopiero w styczniu 1945 roku, kiedy zakłady znalazły się w bezpośrednim zagrożeniu ze strony atakującej Armii Czerwonej. Likwidacji uległy też oba obozy koncentracyjne, a żyjących jeszcze więźniów popędzono do obozu w Gross-Rosen. Był to marsz śmierci, pełen nieopisanego tragizmu. Do dziś nie udało ustalić ilu pociągnął on ofiar śmiertelnych tylko na drodze: Dyhernfurth - Gross-Rosen.

Zamieszczone w niniejszym opracowaniu relacje stanowią jedynie fragmentaryczny obraz w jakich żyli i ginęli więźniowie obozu Dyhernfurth II.

4. 1. 1944

Der Tag der Entlassung kann jetzt noch nicht angegeben werden. Besuche im Lager sind verboten. Anfragen sind zwecklos.

Auszug aus der Lagerordnung:

Jeder Häftling darf im Monat 2 Briefe oder Postkarten empfangen und absenden. Eingehende Briefe dürfen nicht mehr als 4 Seiten & 15 Zeilen enthalten und müssen übersichtlich und gut lesbar sein. Beifügungen sind nur durch Postamtseinsendung zulässig, deren Abschnitt nur Vor-, Zuname, Geburtstag, Häftlingsnummer trägt, jedoch keinerlei Mitteilungen. Geld, Fotos und Bildereinschlüsse in Briefen sind verboten. Die Annahme von Postsendungen, die den gestellten Anforderungen nicht entsprechen, wird verweigert. Unübersichtliche, schlecht lesbare Briefe werden vernichtet. Im Lager kann alles gekauft werden. Nationalsozialistische Zeitungen sind zugelassen, müssen aber vom Häftling selbst im Konzentrationslager bestellt werden. Lebensmittelpakete dürfen zu jeder Zeit und in jeder Menge empfangen werden.

Der Lagerkommandant

Ich bin jetzt im Arbeitslager Dyhernfurth II

Lager Elfenhain / Dyhernfurth / a.O. Ab so-

fort dürft Ihr mir Lebensmittelpakete direkt

nach hier schicken, verboten sind Geld -u.

Briefeinschlüsse sowie alkoholische Getränke.

Meine Anschrift lautet:

Schreiben. Edmund Pawlak, 39.10.1905-1950

Vor- u. Zuname, Geb. Datum, Grö. Nr.

Arbeitslager Dyhernfurth II /

Lager Elfenhain

Dyhornfurth / a.O.

List z obozu Dyhernfurth II pisany do zony przez
Edmunda Pawlaka w dniu 4 stycznia 1944 roku. Nr obozowy
P-8050. Na uwagę zasługuje gotowa treść listu powielonego
przez Komendanturę obozu.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.58.

ZAMIAST WSTĘPU

Drugi podobóz, jaki został założony kolejno w Dyhernfurth /Brzeg Dolny/, powstał gdzieś w połowie 1943 roku.

Podobóz ten nosił nazwę "LURANIL" i był położony poza terenem fabrycznym, ale w jego pobliżu, po drugiej stronie szosy prowadzącej do Wołowa w lasku około 700 metrów od fabryki. Może dlatego nosił on drwiące miano "Lager Elfenheim".

Liczba więźniów przekazywana z obozu Gross-Rosen do tego komanda stale była uzupełniana z powodu dużej śmiertelności, a jej powodem była wycieńczająca praca ponad siły i bardzo nisko kaloryczne jedzenie; także na skutek dużej śmiertelności trudno było ustalić stan więźniów tego komanda.

Pod koniec istnienia tego komanda liczba więźniów wahała się w granicach około 3.000 więźniów. Władze hitlerowskie planowały co prawda rozbudowę tego komanda, co wiązało się z rozbudową samej fabryki i zwiększeniem liczby rąk do pracy i zatrudnienie tym samym większej liczby więźniów. Wynika to zresztą z treści porozumienia zawartego w styczniu 1945 roku między władzami SS a przedsiębiorstwami o skierowaniu do tego podobozu 9.700 ludzi, więźniów zdolnych do "pracy".

Według oryginalnego listu, okazanego przez byłego więźnia tego komanda Stanisława Garczarczyka nr 16341, Arbeitslager Dyhernfurth II /skrót korespondencyjny "AL DY II"/ określony był mianem Lager Elfenheim.

Jak mówili więźniowie tego komanda, to powrót do obozu Gross-Rosen możliwy był dla więźnia tylko "w skrzyni", wprost do krematorium.

Polacy w tym podobozie byli traktowani szczególnie okrutnie. O stosunku władz obozowych do więźniów świadczyć może postawa zastępcy komendanta AL Dyhernfurth II Irsaka, który mówił na terenie podobozu, że Polaków bardziej nienawidzi niż Żydów i Cyganów.

Największą grupę tworzyli Polacy. Poza nimi byli Żydzi, Rosjanie, Czesi, Francuzi, Jugosłowianie, Włosi, Cyganie, Holendrzy oraz Niemcy.

Więźniowie zakwaterowani byli w barakach. Część stanowiły jednopiętrowe bloki murowane. Oprócz baraków mieszkalnych były dwa baraki przeznaczone na tzw. "rewir" dla chorych więźniów.

W okresach nasilenia różnych chorób, szczególnie biegunki przebywało tutaj około 500 więźniów. Około 100 więźniów pełniło w obozie różne funkcje /najstarszy więzień obozu, jego zastępca, blokowy, sztabowy, oberkapo, kapo, vorarbauterzy komand roboczych, kapo kuchni, kucharze, kapo szpitala /rewiru/, lekarzy i sanitariuszy, kapo rzemieślników, szewców, krawców, pracujących w pralni itp. Niemiecka załoga obozu liczyła około 200 esesmanów.

Wyżywienie więźniów było bardzo złe. Przyznawane więźniom głodowe racje żywnościowe były w dodatku okradane przez władze obozowe. Kaloryczność dziennego wyżywienia, według określenia

byłego więźnia, lekarza rewiru dr Hałgasa, w żadnym wypadku nie przekraczała, a raczej była zawsze poniżej 1.000 kalorii.

To nędzne pożywienie, pozbawione najpotrzebniejszych składników i niskokaloryczne, połączone z pracą ponad siły stanowiło czynnik wyniszczający organizm więźniów, a w konsekwencji prowadziło do szybkiej ich zagłady.

Wymownym tego twierdzenia dowodem jest wspomnienie przez świadka Hałgasa i innych więźniów wyglądu zwłok zmarłego więźnia.

Według zeznań zwłoki zmarłych, przeciętnie ważyły około 30 kg, były to kości obłeczone skórą.

Śmiertelność wśród więźniów podobozu spowodowana niedożywieniem, ciężką pracą i stosowaniem różnego rodzaju wymyślnych tortur była duża i wynosiła około 20-30 więźniów tygodniowo.

Zginęło w tym obozie 1.840 więźniów.

Praca w każdym obozie hitlerowskim, w szczególności zaś w obozie koncentracyjnym, była pomyślana jako jedno z ogniw systemu wyniszczenia. Osiągano ten cel przez stosowanie terroru, długiego czasu pracy i nieludzkiego jej tempa. Częste wypadki śmierci podczas pracy spowodowane były nie tylko wyniszczeniem organizmu, ale w znacznej części przez nieludzkie postępowanie kapów i SS-manów.

Około 80% więźniów było zatrudnionych przy rozbudowie fabryki oraz przy rozbudowie podobozu Dyhernfurth II.

Pozostała część więźniów pracowała w warsztatach podobozu i w administracji.

Wykonawcą robót związanych z rozbudową zakładów chemicznych było przedsiębiorstwo "Luranil Baugesellschaft M.B.H." z Ludwigsburga. W sierpniu 1944 roku Luranil angażuje ogółem około 30 innych przedsiębiorstw niemieckich do rozbudowy zakładów chemicznych w Brzegu Dolnym, należących do IG Farben Industrie, a noszącej nazwę "Anorgana" GmbH.

Z odnalezionego pisma Szefa Głównego Urzędu Gospodarczego SS gen. Pohla do SS-Oberfuhrera Franza Kranefussa z dnia 15 stycznia 1944 r. dowiadujemy się, że aktualnie zatrudnionych było 450 więźniów, a planowano zatrudnienie 9.700 osób. Liczby te odnosiły się do więźniów przebywających w Dyhernfurth II i zatrudnionych przy rozbudowie samej fabryki.

Więźniów obowiązywał 12-godzinny dzień pracy z przerwą obiadową. Więźniowie wykonywali najcięższe prace fizyczne, jak kopanie rowów i wykopów, noszenie cementu w workach na odległość około 200 metrów, ładowanie piasku i żwiru, cementu i innych materiałów budowlanych. Pracowali przeważnie w kilkunastoosobowych grupach-komandach.

Więźniowie za swą ciężką pracę nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia. Administracja KL Gross-Rosen wystawiała regularnie rachunki należności za wykonaną przez więźniów pracę dla poszczególnych firm niemieckich. Firmy te płaciły za pracę wykonaną przez więźniów wg stawek: 6 marek dniówki za pracę robotnika wykwalifikowanego i 3 marki za robotnika niewykwalifikowanego. Pieniądze te wpływały do kasy KL Gross-Rosen. Największe zyski z niewolniczej pracy więźniów uzyskiwały przedsiębiorstwa zatrudniające więźniów.

W rewirze początkowo zatrudnionych było 2, a od połowy 1944 roku 3 lekarzy - więźniów. Od stycznia 1944 roku rewirem kierował lekarz więzień Kazimierz Hałgas, który położył duże zasługi dla poprawienia warunków leczenia chorych w rewirze. Opiekę nad

chorymi sprawowali między innymi: Stanisław Targowski, Stanisław Czernik, Antoni Hałaszyński, Julian Biel, Leon Ziółkowski, Zbigniew Mariański, Emil Wiącek, Władysław Jagiełło, Józef Kisielewicz i Józef Dybek.

Pomoc lekarska udzielana więźniom była niewystarczająca, gdyż z reguły nie było podstawowych leków, bandaży i innych niezbędnych dla leczenia środków. W podobozie Dyhernfurth II szerzyły się choroby zakaźne; tyfus, gruźlica, czerwotka, flegmona a szczególnie biegunka.

Bicie więźniów powodowało różne rany, a leczenie tych okaleczeń przy braku środków powodowało powstawanie stanów zapalnych i ropnych. Flagą było zawalenie.

W obozie nie było łaźni ani czystej i zdatnej do picia wody. O warunkach sanitarnych świadczy fakt podany przez lekarza Hałgasa, że w rewirze wszy łączyły po chorych, a pluskwy w dzień spacerowały po ścianach i łóżkach.

W okresach jesienno-zimowych baraki były rzadko ogrzewane, a paszaki i obuwie noszone przez więźniów nie zabezpieczały ich przed zimnem. Każdy przypadek zdobycia przez więźnia i używania jakiegokolwiek okrycia, nawet worka z cement był karany surowymi i dotkliwymi karami cielesnymi, a były przypadki, że karna nie takie kończyło się śmiercią więźnia.

Każdego dnia po zakończeniu pracy odbywały się apele wieczorne. Były one zmartwieniem dla więźniów. Podczas apelów przeprowadzano doraźne selekcjonowanie więźniów. Jeden z takich przypadków podaje więzień Gwóźdź w sposób następujący: w końcu listopada 1944 roku podczas apelu jeden z więźniów stracił przytomność, wówczas Weiss doskoczył do niego, kopnął go kilka razy w bok. Więzień ten resztką sił podniósł się, ale zaraz upadł. Obecny przy tym SS Hackler kazał tego więźnia zanieść do skrzyni w której znajdowali się już zmarli więźniowie, lub pomordowani podczas pracy, których następnie odwożono na spalenie w krematorium w Gross-Rosen.

Podczas apeli dokonywano kary chłosty i egzekucje, a także karne ćwiczenia tzw. żabka, padanie, przysiady itp. Szczególnie długo trwały apele, gdy któryś z więźniów uciekł z podobozu. W takich przypadkach wszyscy więźniowie tak długo stali na apelu /zdarzało się, że stali po kilkanaście godzin/, aż uciekinierzy zostali złapani i dostarczeni do obozu żywi lub martwi. Za próbę ucieczki skazywano na śmierć. Więźnia skazanego na powieszenie ubierano jak błazna i zawieszano na nim tabliczkę o szyderczej treści, np. "zgubiony ptaszek wraca do swojego gniazda". Orkiestra obozowa w tym czasie grała wesołe melodie. Po egzekucji wszyscy zebrani na placu apelowym więźniowie defilować musieli przed zwłokami więźnia powieszzonego.

Evakuacja podobozu Dyhernfurth II w Brzegu Dolnym rozpoczęła się 24 stycznia 1945 roku. Więźniowie pędzeni byli do obozu macierzystego w Gross-Rosen. Trasa marszu przebiegała przez miejscowości: Gąsiorów, Owieczki, Kobylniki, Szczepanów, Środę Śląską, Targoszyn do Gross-Rosen. Marsz trwał dwa dni i pół nocy.

Ogółem z podobozu Dyhernfurth II wyprowadzono około 3.000 więźniów. W pierwszych kolumnach wyruszyli więźniowie zdolni do marszu oraz lżej chorzy, którzy mogli utrzymać się na nogach. Wymarsz z obozu nastąpił rano przy 15-sto stopniowym mrozie. Więźniom nie wydano nawet śniadania, a w czasie marszu również nie dawano więźniom żadnego posiłku.

Przebieg wymarszu więźniów tak relacjonuje Kazimierz Hałgas: Koło bramy obozowej, w rowie przeciwnolotnym, zakopaliśmy

skrzynie ze zwłokami z rewiru /około 6 zwłok ludzkich/ wraz z więźniami zastrzelonymi przy zbiórce i biegiem dołączyliśmy do kolumny gnanych więźniów. Więźniów eskortowali: część załogi niemieckiej, z podobożu oraz esesmani, których dotychczas nie znaliśmy, a którzy między sobą klęli i rozmawiali po ukraińsku. Ja z sanitariuszami stanowiliśmy koniec kolumny i tych, którzy już nie mogli iść o własnych siłach musieliśmy prowadzić, aż do kompletnego upadku z sił; wtedy danego więźnia kazano zostawić w fosie, a esesman z eskorty strzelał w tył głowy z karabinu. Bliski strzał powodował rozbite czaszki więźnia. Widziałem przypadki, gdzie pomimo tak śmiertelnego i okrutnego uszkodzenia głowy, esesmani z grupy eskortującej dźgali jeszcze bagnetami w pierś ofiary. Pierwszego dnia ewakuacji zginęło w sposób wyżej opisany około 20 - 25 więźniów.

W pierwszym dniu marszu esesmani zastrzelili tych więźniów, którzy na skutek osłabienia nie mogli iść o własnych siłach. Ich zwłoki wrzucano do przydrożnych rowów. Po całodziennym marszu, źle odziani, przemarznięci i głodni więźniowie dotarli na noc do Środy Śląskiej i pod eskortą uzbrojonych esesmanów nocowali na dworze na terenie cukrowni w Dobrzycach.

W nocy kilkudziesięciu więźniów zmarło. Niektórzy więźniowie-świadkowie zeznali, że na terenie cukrowni pozostało około 50-100 /a niektórzy wymieniają nawet liczbę do 200/ zwłok więźniów, którzy zamarli na śmierć. Podczas tego noclegu na terenie cukrowni esesmani zastrzelili 3 więźniów.

Z 3.000 więźniów, wyprowadzonych na trasę ewakuacji, do Gross-Rosen przybyło jedynie około 1.000.

W podobożu Dyhernfurth II po wyjściu kolumny pozostało jeszcze 500-600 chorych. Opiekę nad nimi powierzono czterem sanitariuszom: Jędrzejczakowi, Hałaszyńskiemu, dentyście Fischerowi i Kisielewiczowi, który na terenie rewiru miał ciężko chorego ojca.

Chorym dano spokój do południa. Po południu komendant Brauer i Rapportfuhrer Jirsak wkroczyli z esesmanami na teren rewiru, rozkazali chorym zdolnym do marszu natychmiast opuścić rewir. Sformowano dwie grupy, każda po około 100 więźniów odzianych tylko w koce i łachmany, i pod strażą esesmanów wyprowadzono ich na trasę ewakuacyjną. Obłożnie chorych załadowano na auto ciężarowe z przyczepą i wywieziono do mostu kolejowego na Odrze i tu zastrzelono. Zwłoki wyrzucono między podkłady toru kolejowego do rzeki.

Grupę chorych poprowadzili esesmani trasą do Gross-Rosen. Pierwszym etapem marszu była Środa Śląska. Epilog ich etapu marszu ewakuacyjnego został utrwalony w aktach sprawy karnej byłego Specjalnego Sądu Karnego dla Okręgu Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu przeciwko Ernstowi Ludwigowi Dickmanowi.

Według ustaleń zawartych w wyroku sądowym do Środy Śląskiej przybywali więźniowie pieszo, a częściowo na furmankach, przy 20-sto stopniowym mrozie boso lub z nogami owiniętymi szmatami, ubrani w płócienne pasiaki, większość bez płaszczy, niektórzy okryci jedynie kocami, a wielu nie miało nawet bielizny na sobie. Wyglądali, jak zataczające się trupy, lub jak szkielety pokryte skórą.

Droga z Dyhernfurth II do Środy Śląskiej i za Środą do Gross-Rosen usiana była trupami więźniów. Niezdolnych do marszu eskorta esesmańska rozstrzeliwała. Krytycznego dnia 28.01. 1945 r. chorych więźniów pilnowała w Środzie formacja miejscowa

SA tak zwani "Politische Staffel", ponieważ eskorta esesmanów porzuciła tu więźniów.

Widok więźniów budził grozę w oczach niektórych obywateli niemieckich Srody. Większość więźniów była w takim stanie zdrowia, że nie nadawała się do transportu pieszego.

Mordowano więźniów strzałami w tył głowy. Mordu tego dokonały formacje Politische Staffel podległe Dickmanowi, na jego rozkaz, gdyż w momencie zbliżania się wojsk radzieckich on na terenie Srody miał pełnię władzy, był panem życia i śmierci. W jego kompetencji znajdowały się wszelkie sprawy dotyczące ewakuacji i jego władzy podlegali też więźniowie, których przywieziono na teren miasta. On tylko mógł wydać rozkaz wymordowania więźniów i rozkaz taki wydał. Dokonana ekshumacja ofiar, wykazała że więźniów zginęło 93 w tym 28 Polaków. Ciała pomordowanych pochowano na górze Piaskowej.

Do KL Gross-Rosen przybyła niewielka grupa chorych więźniów /około 20-25 osób/ pozostawionych w rewirze w Dyhernfurth II.

Mogiły pomordowanych więźniów rozsiane zostały na całym szlaku ewakuacyjnym od Dyhernfurth II do Gross-Rosen.

W Małunowie gmina Gniechowice, pow. Wrocław w bliżej nieznanymi okolicznościach dokonano mordu na 65-osobowej grupie ludzi. Przeprowadzona w dniu 18 lutego 1951 roku ekshumacja mogiły zbiorowej pozwoliła na ustalenie, że większość zamordowanych to Polacy i że zwłoki były związane za ręce kablem telefonicznym i drutem. Następnie stwierdzono, że około 18 czaszek było rozbitych, co świadczyło o tym, że śmierć nastąpiła na skutek silnego uderzenia twardym przedmiotem w głowę. Prawie 100% czaszek nie udało się skompletować na skutek całkowitego rozbicia ich.

Ponieważ Małunów leży na szlaku marszu ewakuacyjnego z Brzegu Dolnego, wydaje się więc prawdopodobne, że grupa 65 osób pomordowanych to więźniowie z Dyhernfurth II.

W pierwszych dniach lutego 1945 roku rozpoczęła się ewakuacja więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Ostatni transport wyszedł z tego obozu w dniu 11 lutego 1945 roku. Transporty były w większości ewakuowane otwartymi wagonami kolejowymi, tak zwanymi węglarkami.

Jeszcze żyjący więźniowie z Dyhernfurth II, trafili w transporcie do obozu koncentracyjnego Mittelbau Dora, ale ilu z nich dotarło do tego obozu, a ilu zmarło w czasie tego następnego transportu ewakuacyjnego, tego nie jest chyba nikt w stanie ustalić dzisiaj.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3.8

ZE WSPOMNIEN WIEŹNIA x/

List do przyjaciela

Piszesz do mnie przyjacielu, że masz 22 lata, a więc ich liczysz sobie tyle, ile upłynęło od chwili najazdu hitlerowskiego na Polskę.

Jak mi piszesz, jesteś studentem Politechniki i pragniesz zostać inżynierem. Zainteresowany jesteś problemem zjednoczenia Niemiec.

Nie jestem politykiem, ani dyplomata - a jakiegokolwiek proactwa z mej strony nie miałyby sensu. Nienawidzę wojny, pragnę widoku uśmiechu i szczęścia dzieci, ich matek i ojców.

Pytasz, czy okropności minionej wojny były rzeczywiście tak makabryczne, czy to, co słyszałeś, że działo się w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych jest prawdą i dla czego tak wiele mówi się obecnie, pisze na temat Niemiec.

- Urodziłeś się w tragicznych dniach września 1939 roku, cóż możesz zatem wiedzieć o rozgrywających się na naszych ziemiach w tym czasie tragediach, o aresztowaniach, rozstrzeliwaniach, o masowej zagładzie milionów ofiar w obozach koncentracyjnych, o bohaterskich walkach członków Ruchu Oporu.

Szeregi bezpośrednich świadków największej zbrodni w dziejach ludzkości, jakiej dopuścili się hitlerowskie Niemcy, z każdym dniem maleją. Pozostali przy życiu, mają więc pełne prawo do zabierania głosu tam, gdzie mówi się o wojnie i o odwecie odradzającego się faszyzmu we wszystkich jego formach. Przyznam Ci się drogi przyjacielu, że z uczuciem głębokiego wstrętu wracam do wspomnień z kilkuletniego pobytu w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Mimo woli jednak wspomnienia koszmarnie wracają, choćby się chciało je zatrzeć na zawsze w pamięci, bo niepokoją i nękają szczególnie w snach.

Tego rodzaju majaczenia, to skutki wojny i obozu, mój drogi. Lekarze mówią, że to uraz, który pozostanie do końca życia..

Nie trudno przytoczyć takie czy inne wspomnienia. Było ich wiele, a wszystkie - jakby nie z tego świata. Pamiętam na przykład święta Bożego Narodzenia w komandzie Dyhernfurth II, który był filią Gross-Rosen. Obecnie miejscowość ta nosi nazwę Rogoźnica i znajduje się w pobliżu Wrocławia, a dawne komando Dyhernfurth nazywa się obecnie Brzeg Dolny. Był rok 1944. Na kilka dni przed świętami na placu apelowym ustawiono kilkumetrową choinkę, którą przypruszono watą szklaną, imitującą anielskie włosy, zawieszono kilka elektrycznych żarówek. Tylko ta choinka przypominała nam o tym, że jest okres świąt. Wszystko inne było boleśnie odczuwalną świadomością pobytu w obozie zagłady.

W tym to dniu powracający z pracy więźniowie nieśli /jak co dzień/ na swoich barkach współtowarzyszy, którzy w ciągu dnia ciężkiej ponadludzkiej pracy rozstali się z życiem. Niesiono rów-

x/ Notatka zamieszczona w Dzienniku Polskim, 5 listopada 1961 roku

niez tych, którzy już o własnych siłach nie mogli iść, bo albo już dogorywali, albo byli w pracy tak pobici przez funkcyjnych więźniów, czy nadzorujących SS-manów, że stracili siły. Jednych i drugich układano na śniegu pod choinką. Leżeli tak przez cały czas trwania apelu wieczornego. Choinka jarzące się na niej lampki, a obok leżące trupy i dogorywające ofiary - nie do wiary - prawda? A jednak to nie był obrazek z makabrycznego snu, ale r z e c z y w i ś t o ś ć XX wieku, ery Hitlera.

23 stycznia 1945 roku obóz Dyhernfurth II ewakuowano. Tegoż dnia we wczesnych godzinach rannych, przy 20 stopniowym mrozie, wyruszyły kolumny więźniów w nieznane, w otoczeniu silnej eskorty /zgrai/ esesmanów i tresowanych wilczurów. Upadających z wyczerpania współtowarzyszy straż tylna eskorty dobijała strzałami, pozostawiając ich zwłoki w przydrożnych rowach. Baraki nie mogły pomieścić nas więźniów. Niemcy tracili głowy, nie panowali już nad sytuacją, jaka się wytworzyła w obozie. Z dala dochodziły odgłosy kanonady, które wydawały nam się zwiastunem wolności.

Ale do tej wolności nie było jeszcze dla nas tak blisko, jakby się wydawało. Znalazłem się w pierwszej pięciotysięcznej grupie, jaką załadowano na otwarte węglarki - po sto i więcej osób. Była to już ewakuacja głównego obozu Gross-Rosen, na skutek zbliżającego się frontu wschodniego. Na drogę nam nic do jedzenia nie dano. Skutki tego - jak się później okazało - były katastrofalne. Po trzech dniach podróży kilka ostatnich wagonów wypełniono trupami.

W miejscowości Nordhausen - Nieder - Schwerfen, blisko połowę więźniów skierowano do miejscowych zakładów lotniczych V-1 i V-2, które w jakiś czas potem zostały zbombardowane przez lotnictwo alianckie. Tu setki więźniów poniosło śmierć od bomb. Pozostała część transportu znalazła się w obozie "Dora", stanowiącym filię obozu koncentracyjnego Buchenwald. W "Dorze" przebywało w tym czasie około 100 tysięcy więźniów. Kiedy przybyłem tutaj w lutym 1945 roku z transportem ewakuacyjnym z Gross-Rosen, otrzymałem numer kolejny więźnia "Zugange" 111358, z numeru 2292, -poprzednio w Gross-Rosen. Stałem się więc - mówiąc obozowym językiem "milionowcem". Większość więźniów w Dorze pracowała w tak zwanych sztolniach. Były to podziemne korytarze, długości około 4 km /długie w skałach/. Podziemia te stanowiły dobrze urządzone fabrykę pocisków rakietowych V-1 i V-2. Przy tej budowie straciło życie blisko 140 tysięcy więźniów.

Zorganizowany przez więźniów w tym obozie sabotaż udaremnił produkcję 320 rakiet śmiercionośnych. Około 500 z nich uległo zniszczeniu przy próbach, ponad 500 wystrzelonych zostało fałszywie, ponad 5 000 sztuk zwróciły władze niemieckie z powrotem do fabryki - z powodu wadliwego wykonania. Tego rodzaju sabotaż przyniósł hitlerowcom straty, sięgające ponad dwu miliardów marek niemieckich. W ten sposób ocalono miliony istnień ludzkich, osiedli, domów, fabryk.

Działalność Ruchu Oporu w Dorze nie obeszła się bez ofiar. Za najmniejsze podejrzenie zamykano więźniów do bunkrów, następnie wieszano ich lub rozstrzeliwano.

Wpłynęła ku końcowi, a mimo to w marcu 1945 roku władze obozowe urządziły pokazowe, masowe wieszanie ofiar więziennych w bunkrze.

Jedna egzekucja 38 więźniów odbyła się na placu apelowym, przy zachowaniu pełnych środków ostrożności. Obawiano się bowiem reakcji ze strony mas więźniarskich. Druga egzekucja, której również byłem świadkiem, odbyła się w sztolniach zakładów, w nocy. Wstrzy-

mano wtedy pracę, aby umożliwić pracującym więźniom i zatrudnionej załodze spośród cywilów, pochodzenia niemieckiego, obserwowanie "widowiska".

Na kranie, który służył do przewożenia ciężarów, na łańcuchach uwieszono drąg, wielkości równej długości podwójnej słupa telegraficznego. Po obu stronach zawiązano pętlę. Po odczytaniu wyroków śmierci skazańcy podchodzili do pętli, które im zakładano na szyję. Na znak komendanta eskorty egzekucyjnej kran podciągnięto w górę...

W ostatnich dniach kwietnia 1945 roku w obozie zawrzało, jak w ulu. Z ust do ust podawano wieść: Obóz "Dora" będzie ewakuowany. W sercach tysięcy więźniów zrodziła się nadzieja rychłej wolności. Znalazło to potwierdzenie w tym, że na placu apelowym palono na stosach dowody zbrodni obozowej, stosy dokumentów, papierów, kartoteki.

Z ewakuacją jednak zwlekano. W końcu władze obozowe - na rozkaz z Berlina - zdecydowały się więźniów zgrupować w podziemiu w sztolniach, po to, by wraz z całą fabryką wysadzić ich w powietrze. Przystąpiono do urzeczywistnienia zbrodniczego planu. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi wprowadzono do podziemi. Widzieliśmy jak wzdłuż tuneli układano skrzynki z materiałem wybuchowym. Skrzynki te łączono drutem elektrycznym.

Staliśmy w oczekiwaniu niechybnej zagłady, w tym napięciu trwaliśmy kilka dób. Po trzech dniach tunele zaczęły się zapełniać grupami ludności cywilnej. Jak się później okazało, byli to niemieccy uciekinierzy z bombardowanych miast i osiedli. Ten zbieg okoliczności zmusił władze obozowe do zmiany pierwotnego planu.

Więźniowie ze sztolni wyprowadzeni zostali w tułaczą włóczęgę, wiodącą ich ku wolności.

Nim ten oczekiwany przez tyle lat życia obozowego nadszedł dzień, droga doń usłana została tysiącami ofiar więźniów.

Pozwól drogi przyjacielu, że ten list mój zakończę notatką o pogrzebie osobliwym i wstrząsającym. Ci co przeżyli męki hitlerowskiej okupacji, z pewnością pamiętają, że na rynku pojawiało się sporo różnego rodzaju artykułów zastępczych. Takim zastępczym środkiem do prania i mycia się były - kostki, wielkości pudełka zapalek, na którym znajdował się napis "RIF" Made in Germany.

Oto jak donosi węgierska gazeta "Kis Lisag" - w Brasowie odbył się jedyny w historii ludzkości pogrzeb. W trumnach wzięto nie zwłoki, nawet nie kości, lecz mydło, które wśród zwykłych ceremonii religijnych pochowano na wieczny spoczynek. W ostatnich dniach ukazały się bowiem w handlu w Brasowie małe kawałki mydła koloru popielatego. Znajdował się na nich znany napis "RIF" Made in Germany. Wkrótce okazało się, że mydło to produkowane było ze zwłok zagazowanych w Auschwitz Żydów, a tajemnicze litery oznaczają - "Rein Judische Fett" /czysty tłuszcz żydowski/.

Kiedy więc kierownicy gmin żydowskich dowiedzieli się o pochodzeniu mydła, wykupili cały jego zapas. Równocześnie postanowiono nieszczęśliwym ofiarom ohydnej zbrodni oddać cześć - przez uroczyste pochowanie.

Doświadczaliśmy bezpośrednio na sobie skutków wojny i panowania "ubermenschów". Pozostało nas niewiele przy życiu - niewiele w Polsce, a i niewiele w krajach Europy. Pragnieniem naszym jest dopełnić żywota bez strachu przed nową wojną, przed zmorą więzień i obozów koncentracyjnych. Dla urzeczywistnienia tego pragnienia poświęcimy wszyscy nasze siły.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3.1.

MOJA DROGA DO DYHERNFURTH II

Przed moim aresztowaniem dużo słyszało się o obozach koncentracyjnych. Znane były Dachau, Buchenwald, Sachsenhausen. Mało kto znał nazwę Gross-Rosen. W każdym razie ja jej nie znałem. Pierwszy raz poznałem tę nazwę w więzieniu radomskim w m-cu styczniu 1944 r. - kiedy to odszedł z Radomia pierwszy transport więźniów do Gross-Rosen. Poprzednie do grudnia wysyłane były do Oświęcimia oraz częściowo do Majdanka. Być może te początkowe wysyłane były i do innych obozów, w każdym razie nazwy ich dla ogółu społeczeństwa były mało znane. Dlaczego wspominam o tym, jak ja to nazywam "przedsionku" obozowym. Więźniowie byli tak maltretowani, zmęczeni, psychicznie załamani, że wydawałoby się to dziwne, ale chcieli się wyrwać z jednego piekła - gestapowskiego - do drugiego obozowego w nadziei, że pomimo wieści jakie dochodziły, może będzie lepiej. Po transporcie styczniowym powstał dylemat /temat dla więźniów b.ważny/, gdzie wywiążą następny transport.

W pierwszych dniach lutego 1944 r. - po 2-ch miesiącach pobytu w więzieniu - transport w którym byłem został skierowany do Gross-Rosen. W drodze został uzupełniony więźniami ze Skarżyska, Kielc oraz Częstochowy. Po kilku dniach drogi - wyładowano nas na małej stacji. Wokół ani śladu jakiegoś obozu. Po tym w kierunku na obóz. Pierwsze wrażenie było bardzo ponure. Droga w niewiadome prowadziła do celu, który w założeniach miał być dla nas końcem naszego życia. Ponury stan zmienił się na stan grozy po przekroczeniu bramy. Wiedzieliśmy już, że jesteśmy w Gross-Rosen. Szliśmy piątkami wśród szpaleru blokowych i capo, wśród akompaniamentu wycia schrypniętych od krzyków głosów eskortujących nas oraz ciągłego poganiania kijami, gumami, kawałkami węży gumowych. I zaczęła się normalka obozowa. "Łaźnie", golenie, ubranka, fislingi oraz laczki na drewnianych spodach. Potem Lagerarzt, który siedząc tyłem do więźniów decydował czy jest zdolny do pracy, czy nie. Wyniki tych badań nie muszę podawać. Wreszcie na blok Nr 8, gdzie w tym czasie blokowym był Kaczyska. Nie wiem czy tak pisało się jego nazwisko - w każdym razie tak je wymawiano. Kto był w Gross-Rosen ten wiedział i wie, kto to był. Mieliśmy tam odbyć kwarantannę. Skończyło się na tym, że po paru dniach sformowano transport i wywieziono nas do Dyhernfurth II. Właściwie gdzie jesteśmy nie wiedzieliśmy. Byłem zapakowany na jeden z samochodów ciężarowych, którym w kabinie jechał komendant obozu Dyhernfurth II. Prawdopodobnie albo miał on coś do załatwienia we Wrocławiu bądź też rodzinę /?/ - było to powodem, że po Wrocławiu przejeżdżaliśmy po różnych ulicach Śródmieścia parę godzin.

Wrocław w tym czasie nie był zniszczony. Pomimo tego, że byliśmy przez przechodzących ulicami wyrostków obrzucani grudami śnieżnymi, wyzywani / jechaliśmy odkrytym samochodem/, to jednak jak człowiek patrzył na kamieniczki w rynku oraz przyległych ulicach - nie przesadzam, czuł w tym mieście coś polskiego. Być może, że wyobraźnia posunęła się też tak daleko, że niektóre

przypominały mi ulice Warszawy. Ciekawe, że prawie cały czas odnosiłem takie wrażenie, że będę mieszkał kiedyś w tym mieście. I mieszkam. Całe 5 lat.

Wreszcie dojechaliśmy do Dyhernfurth u Teraz pytanie co z człowiekiem będzie. Sam widok tego obozu zrobił jak najgorsze wrażenie. Może się mylę, ale chyba nie miał w tym czasie więcej jak 9-10 bloków i to część w budowie. Po drewnianych odmalowanych barakach, czystych uliczkach Gross-Rosen - Dyhernfurth nie mógł zrobić innego wrażenia. Żał się człowiekowi zrobiło, że będzie umierał w byle jakim, nikomu nie znanym obozisku. Nikt nie będzie wiedział gdzie to jest, co to jest. Co innego Dachau, Buchenwald, Oświęcim - tam umierali bohaterowie. A tu? Napewno to były głupie myśli, ale co ja zrobię, tak jednak myślałem. Przyszłość okazała się zgoła inna.

Po przybyciu do obozu skierowano nas na blok Nr 11, gdzie blokowym był Vogel. Na drugi dzień po ukończonym apelu, cały nasz transport pozostawiono na placu. Miano nas przydzielać do poszczególnych komand. Tak poprzedniego dnia po przyjeździe jak i stojąc w szeregu rozglądałem się za jakimś znajomym z wolności, a który byłby już tzw. starym więźniem. Niestety nie znalazłem. Moim osobistym zdaniem przeżycie jak najdłuższego okresu w obozie zależało od dwóch czynników - szczęście oraz pomoc ze strony współwięźniów, którzy mają już wyrobione chody. Tu zaznaczyć muszę, z przykrością, że spodziewanej pomocy ze strony kolegi szkolnego, który był funkcyjnym w Gross-Rosen pomimo obietnicy miski zupy - nie otrzymałem. Wracając jednak do momentu, gdy staliśmy na apelowym placu, nie byłem w ogóle zdecydowany do jakiego zawodu mam się zakwalifikować, aby - co tu ukrywać, który dawałby przydział do odpowiedniego komanda. Kartoflarnia odpadała. Jakże śmiesznie wyglądały teraz te myśli jakie człowiek miał na wolności. Ot, jak się dostanę do obozu, zadekuję się w kartoflarni i jakoś tam będę. Rzeczywistość okazała się inna. Muszę tu zaznaczyć, że ustawiłem się psychicznie w ten sposób, że do obozu już nie wrócę bez względu na to jak się wojna zakończy. W tym, czy innym obozie zakończę swój żywot. Trzeba wyzbyć się wszelkich nadziei i żyć bez złudzeń. Obawiałem się, że mogłem przyjechać już z wyrokiem wydanym przez radomskie gestapo. Te i inne myśli nurtowały człowieka w tych chwilach, kiedy miało się zdecydować, co ze mną będzie. A więc stoję na tym nieszczęśliwym placu. W pewnej chwili przed szeregiem stał więzień wyglądający na funkcyjnego, ale bez bindy, w asyście jak się później okazało raportführera Jerzaka oraz

Peterka. Od otaczających nas blokowych dowiedzieliśmy się, że jest to doktor - kier. rewiru, że będzie wybierał kandydatów na sanitariuszy. Miał ich wybrać trzech. Stałem w drugiej połowie szeregu. Nim dojdzie do mnie - wybierze innych wcześniej. Jeden już odstawiony na bok, już drugi. Zbliża się do mojej piątki, a stałem w niej ostatni. Minął, zrobił dwa, trzy kroki, odwrócił głowę, dostrzegł, kiwnął ręką. Serce skoczyło mi do gardła. Stałem przed nim. Zadał pytanie zawód - maturzysta odpowiedziałem. Miałeś coś do czynienia z medycyną - odpowiedziałem ni stąd, ni z owąd - tak, Jaką styczność - Moja mama była akuszerką - odpowiedziałem. Wszyscy trzej /okazało się, że tak Jerzak jak i Peterek mówili po polsku/ wybuchnęli śmiechem. Fertig - powiedział doktor. Zakończył "nabór" do rewiru. Jak się potem okazało wzięli oni to za dowcip podczas kiedy ja mówiłem prawdę. W ten sposób dr Hałgas Kazimierz, którego nigdy przedtem nie znałem wg mnie uratował mi życie po raz pierwszy. Zdawało mi się wtedy, że znalazłem miejsce

gdzie przetrzymam jakiś okres czasu. Ponieważ, faktycznie poza tym, że mama była akuszerką, z medycyną nie miałem nic wspólnego - byłem przekonany, że za parę dni będę ze szpitala usunięty.

Rewir w tym czasie był w rozbudowie. Zagospodarowany był tylko parter w jednym bloku. Piętro było dopiero w budowie. To też zamiast spodziewanego opiekowania się chorymi - wykonywałem zgoła inne czynności. Do czynności "pflugerslich" należało do mnie jedynie zmierzenie dwa razy dziennie temperatury chorym. Pozostały czas to ciężka praca przy budowie szpitala. Dr Hałgas, który sam w wolnych chwilach dosłownie i bez przesady budował szpital, włączył się do pracy murarzy z kielnią, do stolarzy z siekierą. Trudno jest mi tak na papierze oddać ogrom pracy jaki włożył on w rozbudowę tego co zastał po swoim przyjeździe. Był człowiekiem wymagającym od swego personelu uczciwości w stosunku do chorych oraz rzetelnego wypełniania obowiązków sanitariusza. Był też bardzo wymagającym w stosunku do siebie. Ten człowiek prawie z niczego w stosunkach nowo powstającego obozu budował szpital. Budował dosłownie. Znalazł czas na codzienne zwizytowanie chorych, zadbanie o nich. Doprowadził w końcu pomieszczenie szpitalne, jak na nasze obozowe warunki do odpowiedniego poziomu. Ambulatorium gdzie przeprowadzał skomplikowane nieraz, skuteczne operacje - oraz gdzie odbywało się udzielanie doraźnych pomocy chorym, opatrywanie ran, przyjmowanie na rewir itp. Personel rewiru był w miarę jego wzrostu tak wyselekcjonowany, że jako pracownicy pozostali w nim ludzie godni zaufania, oddawali nie tylko samej pracy w szpitalu, ale też zajmowali się i innymi sprawami /o czym napiszę oddzielnie/.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3.9.



Po lewej stronie szczyt budynku mieszkalnego więźniów, a po prawej - front kuchni obozowej. Dalej widoczny las, gdyż tutaj się kończył teren obozu.

foto. B. Usarewicz - 1976

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.1.6.



250/6r

WSPOMIENIA OBOZOWE

Zostałem aresztowany 6 marca 1944 roku we wsi Zawonie, pow. Sokal, województwo lwowskie, gdzie mieszkałem z całą swoją rodziną.

Od jesieni 1942 roku we wsi Zawonie przebywała grupa partyzantów radzieckich gen. Kołpaka, którzy wraz z miejscową ludnością prowadzili pracę propagandową, dywersyjną i działania partyzanckie.

6 marca 1944 roku wieś została otoczona przez 44 dywizję SS "Hałaczyna" i po zdziesiątkowaniu ludności oraz spaleniu wsi, resztę mieszkańców popędzono pod konwojem do ukraińskiej wsi Jastrzębica, leżącej na północ od Zawonia w odległości 4 km. W tej grupie byłem i ja. Miano nas tu rozstrzelać i pogrzebać w pobliskim lesie, gdzie wykopano już groby. Zamysł ten nie został wykonany, ponieważ do wsi przyjechało kilku wyższych oficerów gestapo w Sokala, którzy kazali odstawić nas /razem 52 osoby, w tym 2 kobiety/ - do szosy we wsi Korczyn, skąd samochodami odtransportowano nas do więzienia we Lwowie - "Łącki" /9 marca 1944 r./.

Po tygodniowym pobycie w więzieniu, 16 marca 1944 r. zostałem wywieziony ze Lwowa transportem liczącym około 200 osób do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Po wyładowaniu nas na stacji kolejowej ustawiono transport w oddział po pięciu ludzi, kierując go przez miasteczko do obozu. W czasie marszu zostaliśmy obrzuceni gradem kamieni, ciskanych na nas przez dzieci niemieckie. W grupie naszej dwie osoby zostały ranne kamieniami i broczyły krwią. Przez bramę obozową z napisem "ARBEIT MACHT FREI" wprowadzono nas do środka. Po spisaniu danych osobowych zapędzono nas do łaźni, po pasiaki, a następnie na blok nr 9, do "Iwana".

W łaźni niemal wszyscy więźniowie zostali pobici pałkami przez SS-manów i przez kapów obozowych. Wszyscy naganiacze obozowi bili nas jak chcieli i gdzie chcieli. Na skutek bicia dwóch ludzi z Zawonia na drugi dzień zmarło - byli to: Just Adam oraz Michał Kisielewicz /Kruc/.

Przez pierwsze dwa tygodnie całymi dniami nosiliśmy na ramionach kamienie z obozu i do obozu, popędzani biciem i kopaniem przez kapów, vorarbeiterów lub służbę obozową.

Po dwóch tygodniach zostałem przewieziony transportem do komanda Dyhernfurth II, gdzie przydzielono mnie do komanda Bau 117, do prac ziemnych, murarskich, jak też przy wyładunku wagonów z cementem. Bicie więźniów przez kapów lub vorarbeiterów było tu rzadsze niż w Gross-Rosen. Ja zostałem jedynie tylko raz pobity przez pijanego SS-mana, który jako dyżurny był obecny na terenie fabryki.

Podczas pobytu w Dyhernfurth II pamiętam trzy razy ćwiczenia przed blokiem /przysiady, żabki, taczanie się i czołganie po błocie/, w których nie brali udziału więźniowie pełniący

funkcje kapów, vorarbeiterów, blokowych i sztabowych. Ćwiczenia te urozmaicane były kopaniem więźniów przez blockführera - SS-mana oraz przez funkcyjnych więźniów, którzy urabiali sobie tym opinię u "swego chlebowawcy".

Od 2 kwietnia 1944 roku do 23 stycznia 1945 roku z ważniejszych wydarzeń w obozie zapamiętałem dwie nieudane ucieczki. Pierwsza to próba ucieczki trzech Rosjan, których zastrzelono, odnajdując ich w lesie. Ciała ich przewieziono do obozu, wystawiono na widok publiczny, każąc nam przemaszerować przed nimi.

Druga ucieczka była pojedyncza. Jednak po sześciu godzinach apelu przyprowadzono uciekiniera z tablicą na piersi: "Ich bin wieder da" - a następnie pobitego nieludzko przewieziono go do S.K. /karna kompania/ do Gross-Rosen. Numerów ani nazwisk tych ludzi nie pamiętam.

Z osób, które były na stanowiskach obozowych, miano więźnia politycznego oraz godnego Polaka przypisuję koledze Franciszkowi Abramowiczowi, który z sercem i "pajdką" chleba wychodził zawsze do najbiedniejszych, a w miarę swoich możliwości jako jeden z pierwszych więźniów tego obozu umożliwiał osobom starszym i słabszym fizycznie otrzymanie lżejszej pracy.

Drugim prawdziwym ojcem był kantyniarz obozowy kol. Bolesław / Drabek/, który bez względu na narodowość więźnia udzielał zawsze pomocy przy rozdawaniu chleba, kartofli, zup i innych artykułów spożywczych.

W czasie ewakuacji wydał wielu więźniom tytoń, papierosy, chleb z kasztanowej maki oraz wszystko co posiadał w kantynie.

Ewakuacja komanda Dyhernfurth II rozpoczęła się 23 stycznia 1945 roku o godzinie 7,30. Po dwóch dniach pieszego marszu przybyliśmy do Gross-Rosen, gdzie umieszczono nas w nowym obozie.

Racje żywnościowe zostały zmniejszone. Chleb, który w obozie dzielono normalnie na 6 więźniów, tu dzielono na 12-tu. Do chleba nie było żadnego dodatku. Drugi posiłek w ciągu dnia otrzymywaliśmy jako "zupę". Była to często nieprzepracowana woda, niedosolona, z kilkoma plasterkami marchwi i niedogotowanymi kawałeczkami brukwi. Otrzymywaliśmy ten posiłek o różnych porach, w zależności od tego jak szybko rozdano jedzenie gotowane w tych kotłach dla obozu głównego. Pamiętam, że kilkakrotnie posiłek otrzymywaliśmy około północy. Po posiłki musieliśmy chodzić, czekając zawsze godzinami przed kuchnią na swoją kolejkę. Przy kuchni dyżurowali kryminaliści z obozu centralnego, którzy wyżywiali się bezpodstawnym biciem czekających na pobranie posiłków. Byłem kiedyś świadkiem, jak wyciągnęli stojącego za mną kolegę, zaczęli go bić, wykrzykując, że kradł marchew z kopca.

Po kilkunastu dniach sformowano transport do "Dory". Transport liczył około 5 tysięcy więźniów. Po 3 dobach jazdy pociągami, w obozie "Dora" z wagonów wydobyto około 1.500 osób zmarłych. Pozostali, ostatecznie siłą dowlekli się do obozowej łaźni, przy czym wielu trzymało się pod ręce.

Tu odczuliśmy życzliwość kolegów, którzy przebywali w tym obozie. Ostrzegli nas, że za parę godzin otrzymamy gęste i tłuste jedzenie i tyle ile kto będzie mógł zjeść. Uprowadzili, abyśmy byli ostrożni, ponieważ jest to celowa taktyka niemiecka, która prowadzi wygłodzonych do śmierci.

Wielu więźniów, którzy wbrew ostrzeżeniom najedli się za bardzo na tak wygłodzone żółądki, zginęło w cierpieniach na skutek skrętu kiszek.

W "Dorze" byłem około trzech tygodni na bloku 148, a następ-

nie wybrano mnie na transport do Rotleberode, gdzie pracowałem w sztolni. Następnie, w pierwszej dekadzie kwietnia 1945 roku rozpoczęła się ostatnia ewakuacja. Czas ten był najcięższym przeżyciem w moim okresie pobytu w obozie. Pędzono nas bocznymi drogami, raz w jednym, to znów w drugim kierunku. Zmęczeni drogą koledzy odchodzili z szeregów, by choć chwilę odpocząć. Ginęli oni od kul SS-manów, którzy ostrzelali także tych, którzy próbowali zerwać garść trawy, by oszukać głód. Gnano nas w stronę Hamburga.

Cztery kilometry za Schwerinem utraciłem całkowicie siły. W oczach zrobiło mi się ciemno, traciłem wzrok. Zacząłem żegnać się z kolegami, prosząc, by o ile przeżyją, dali znać rodzinie, że tutaj zostałem zastrzelony. Zszedłem wraz z grupą około dwudziestu osób do rowu, obok drogi, gdzie czekałem na śmierć. Tymczasem - jak się okazało - uratowała nas grupa Czerwonego Krzyża, która umieściła nas w wojskowym szpitalu polowym, opuszczonym przez Niemców. Tutaj 30 kwietnia współprytny z wyczerpania zobaczyłem pierwszego żołnierza Armii Czerwonej, który oznajmił mi, że jestem wolny i mogę wracać do domu. Na razie było to jednak niemożliwe ze względu na mój stan zdrowia, kompletne wyczerpanie i zmuzułmanienie. Ważyłem wówczas zaledwie 38 kg

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3 3.



Budynki mieszkalne więźniów, a przed nimi podwyższony teren - to dawny plac apelowy.
foto. Bolesław Usarewicz

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.1.3.

DYHERNFURTH II - OBOZ KAŻNI

W okresie okupacji hitlerowskiej zamieszkiwałem w miejscowości Łapy, województwo Białystok; tam też zostałem aresztowany przez Gestapo w dniu 5 kwietnia 1944 roku i przebywałem w więzieniu gestapowskim w Białymstoku, skąd w dniu 5 lipca 1944 roku zostałem skierowany do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Z naszej grupy aresztowanych, jak pamiętam, trafili do tego obozu: Bolesław Usarewicz nr 4399, Roman Usarewicz nr 4400, Stanisław Majkiewicz, Lubomir Braun, Józef Łapiński, Adolf Miler.

W obozie Gross-Rosen nosiliśmy kamienie z kamieniołomu do obozu i spowrotem z obozu do kamieniołomu. Następnie we wrześniu /daty dokładnie nie pamiętam/ 1944 roku zostałem skierowany z grupą innych więźniów do komanda Dyhernfurth II i przebywałem tam w baraku nr 5. Wraz ze mną do tego komanda został skierowany Lubomir Braun, a w obozie tym poznałem bliżej osoby: Kazimierz Hałas - był lekarz, obozowy i Bronisław Sowa.

W Dyhernfurth pracowałem w komandzie budowlanym, gdzie wykonywałem różne prace ziemne, wyładunek cementu i innych materiałów budowlanych z wagonów, a i różne załadunki na wagony, jak również pracowałem przy ładowaniu ziemi-piasku na podstawiane wagoniki, którymi była wywożona. Naszym kapo na tym komando /jak pamiętam/ był ślązak mówiący źle po polsku o imieniu Karol.

Komando nasze nazywano Komando Dyhernfurth II - obóz leśny. W komandzie tym praca była bardzo ciężka, można powiedzieć nawet, że ponad siły więźniów wycieńczonych głodem i pracą, a przy tym funkcyjni więźniowie, chcąc się przypodobać esesmanom ciągle nas poganiali przy pracy, nie żałując kija. Toteż więźniowie, którzy początkowo po przyjeździe z więzienia do obozu i mając pewien zasób siły jako tako wyglądali, to po krótkim okresie czasu opadali z sił, mużułmianieli i wykańczali się przy głodowych racjach wyżywienia, a potem wracali do Gross-Rosen w skrzyni prosto pod krematorium.

Kiedy zaczął się zbliżać front ze wschodu wiedzieliśmy, że może nadejść upragniona dla nas wolność, gdyby szybkim manewrem oskrzydlającym Armia Czerwona zajęła tamtejsze tereny. Ale niestety nie doszło do tego, chociaż tak strasznie pragneliśmy wszyscy Wyzwolenia. Czekały nas jeszcze wielkie trudy i wielu z nas miało jeszcze paść, aby przejść przez piece krematoryjne obozów.

W dniu 23 stycznia 1945 roku w godzinach wczesno-rannych wszystkich nas mogących jeszcze chodzić wypędzono w marsz ewakuacyjny do Gross-Rosen, bez wydania jedzenia. Co prawda jedzenie było przygotowane dla nas, ale kierownictwo obozu SS zaleciło wszystko wylać, a nas głodnych wypędzono na trasę marszu.

Wiedzieliśmy, że będzie to marsz śmierci i każdy, kto upadnie z wyczerpania, zostanie z miejsca zastrzelony przez konwojujących nas SS-manów.

Było wówczas bardzo mroźno, duży śnieg leżał na wszystkich drogach, a przecież my wszyscy więźniowie mieliśmy lekkie drelichy-pasiaki, które nie dawały ciepła i nie chroniły przed zimnem,

nawet gdy ktoś miał płaszcz z pasiaka, to i on też nie dawał zbyt-
niego ciepła. Obuwie też w większości mieliśmy marne i nie chro-
niło naszych nóg od zimna. Do tego wszystkiego prowadzono nas bo-
cznymi drogami nie przetartymi, a zaśnieżonymi, co jeszcze utrud-
niało nasz makabryczny marsz. Głównymi drogami uciekali cywile
niemieccy i wycofujące się wojsko.

Noc z 23 na 24 stycznia spędziliśmy w jakiejś cukrowni /nie
pamiętam jaka to była miejscowość/. Spaliśmy tam pod gołym nie-
bem na śniegu. Dla ogrzania się utworzyliśmy coś w rodzaju mro-
wiska. Skłębieni wszyscy razem staraliśmy się ogrzać wspólnie
własnymi ciałami jeden drugiego.

W międzyczasie ci zbyt przygnieceni w środku po rozgrzaniu
wydostawali się na zewnątrz i siadali jako pierwsi tego zgrupo-
wania, a następnie skupiali się bliżej do środka i tak nasza ma-
sa ludzka stale była w ciągłym ruchu oczekując świtu.

Na terenie cukrowni stał wagon załadowany wysłodkami. Niek-
tórzy wygłodniaли więźniowie rzucili się na nie jeść i jedli je
zimne zmarznęte, nie patrząc na to, jakie mogą być tego potem
skutki, a przecież nie zastanowili się, że mają puste żołądki,
ale nie potrafili się powstrzymać od zjedzenia czegoś, co by da-
wało przekonanie o najedzeniu się. No i nie trzeba było długo
czekać na efekty tego najedzenia się, bo większość kolegów dosta-
ła biegunki. Najbardziej z tego wszystkiego utkwiał mi w pamięci
obraz, jak trzech Tatarzy /pracowali w komandzie przy betoniarce/
po najedzeniu się tych wytłoczyn przeżywali swoją tragedię. Jeden
z nich miał tak silną biegunkę, że po pewnym czasie zupełnie os-
łabł. Pomagali mu w marszu pozostali dwaj koledzy. Ale po jakimś
czasie i oni zupełnie osłabli, bo i ich męczyła biegunka. Ciągnę-
li go więc za sobą, ale wreszcie nie dawali rady, bo nie mieli
już sił na to. Kilka razy go zostawiali, ale potem wracali po nie-
go i znów dźwigali go, lub ciągnęli parę metrów po śniegu. Płaka-
li przy tym, że nie mieli sił ciągnąć go dalej, aż wreszcie mu-
sieli go pozostawić esesmanom do dobicia.

Tę ich rozpacz do dzisiejszego dnia mam w "oczach". Muszę za-
znaczyć, że przy wymarszu nie otrzymaliśmy przecież nic do jedze-
nia, a przeszliśmy tyle kilometrów, a nie wiedzieliśmy ile ich
jeszcze mamy przed sobą. Jedzenia nie było i kiszeki skręcały się
z głodu tak że nie można się dziwić, że wielu więźniów jadło te
wytłoki. Jednak ci, co zjedli ich mniej, to tego tak nie odcho-
rowali.

Po przybyciu do Gross-Rosen w dniu 24 stycznia wieczorem od
razu skierowali do tak zwanego drugiego obozu "oświęcimskiego",
który był odgradzony dodatkowym płotem i była do niego druga bra-
ma, na której trzeba się było odmeldowywać, jak przy przejściu
przez bramę główną.

Tutaj warunki były makabryczne, bo w starym obozie była do-
prowadzona woda, ubikacje były skanalizowane, a tutaj nie było
wody, nie było ubikacji, w wielu barakach nie było podłóg, albo
były, ale się sypiało na rozsypanej słomie, a raczej trudno to
było nazwać słomą, a raczej roztartą sieczką, względnie nie by-
ło podłogi, a spało się na mokrej ziemi. Cały teren ginał w roz-
robionej glinie bez przejść, a tylko wybrukowana była główna "le-
gerstrasa", a do pozostałych baraków trzeba było przechodzić w
mazi wyrobionego stopami więźniów błota, czy gliny, gdzie topiły
się nogi z obuwem, tak że trzeba było bardzo uważać aby nie zgu-
bić ich w błocie.

Jedzenie było wydawane jeszcze w mniejszej ilości niż u nas w komandzie. Raz dziennie dostawaliśmy kawałek chleba dzielony chyba na dwunastu więźniów, a zupę wydawano w większości w nocy, bo kuchnia nie mogła nadążyć z gotowaniem dla wszystkich więźniów. Zresztą nie wiem, czy to, co wydawano, można było nazwać szumną nazwą "zupa", bo była to raczej ciepła - zagrzana woda, do której wrzucano trochę brukwi, czy innych zgniłych produktów, i to poważnie nieosolonych, ale zawsze było to coś w miarę ciepłe.

Nieraz długo trzeba było oczekiwać na to jedzenie, a jak przywieziono, to nie zawsze tyle kotłów, ile miało być wydane na dany blok, a to temu, że kiedy przejeżdżano z pojemnikami przez "stary obóz", to tam czekali wygłodzeni więźniowie, którzy rzucali się na te konwoje i przewracali kotły z zupą, aby się wylała na lagerstrasę, a potem zbierali to jedzenie rękami albo do przygotowanych misek i jedli. Nie pomagało to, że każdy taki transport jedzenia był pilnowany przez kilkunastu funkcyjnych z naszego obozu z kijami; rzucali się na jedzenie nie patrząc, że mogą być poważnie pobici lub nawet zabici mocnym uderzeniem kija.

Tak żyjąc, doczekaliśmy się dnia 6 lutego 1945 roku, kiedy to uformowano kolumnę ewakuacyjną i po zaprowadzeniu nas na stację kolejową Gross-Rosen /bo i tak samo nazywała się stacja/ załadowano nas na czekające wagony węglarki otwarte, a po załadowaniu wyruszyliśmy w dalszą nieznaną drogę.

Naszym następnym miejscem docelowym okazał się obóz Mittelbau-Dore, gdzie otrzymałem numer obozowy 115956. Podałem się tam za ślusarza i pracowałem w małym komandzie przy Dorze, gdzie pracowałem przy spawaczach, ale była to już praca pod dachem.

Stamtąd w kwietniu 1945 roku znów wyszliśmy na marsz ewakuacyjny, podczas którego zdołałem zbiec i ukrywać się, aż do chwili wyzwolenia.

Mój brat Roman miał w Gross-Rosen numer obozowy 4400 i został skierowany do innego podkomanda Gross-Rosen, skąd trafił potem transportem ewakuacyjnym do Mauthausen, skąd powrócił do kraju. Zmarł w Gdańsku w ubiegłym roku na serce.

Pragnę tutaj nadmienić, że nigdy zarówno z bratem, który również przeżył makabrę obozów koncentracyjnych nie rozmawialiśmy na ten temat i nigdy nie wspominaliśmy tych przykrych tematów. Tak samo nigdy w domu nie mówiłem swoim dzieciom o okropnościach jakich przeszedłem w obozach. Po pierwsze, nie lubię wracać do tych chwil w rozmowie, a po drugie, czy młodzież zrozumie nasze przeżycia? Czy uwierzy w to co przeżyliśmy? To trzeba przeżyć samemu, wtedy się wie, co to jest obóz koncentracyjny.

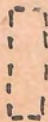
Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3.7.

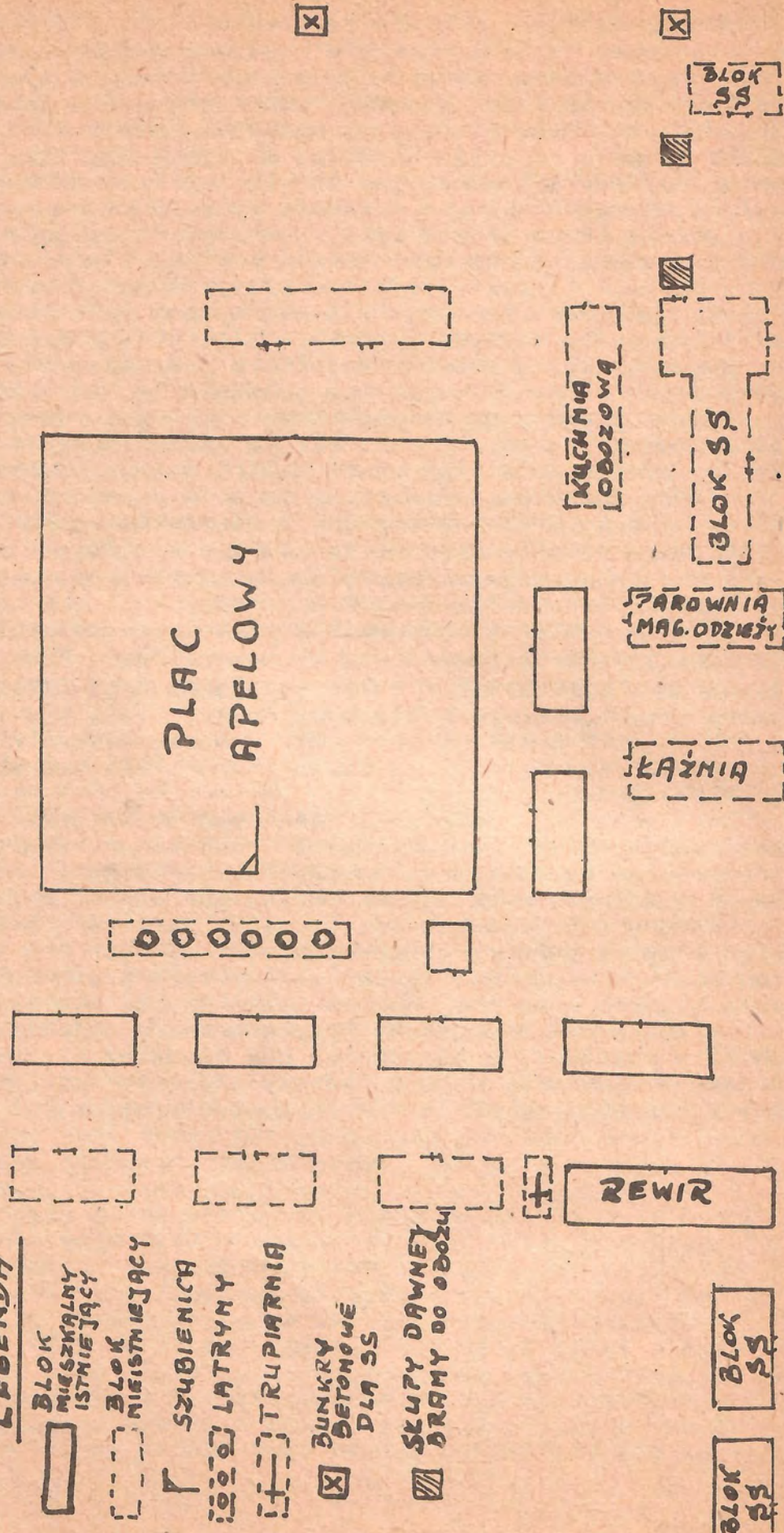
PLAN FILII OBOZU GROSS-ROSEN

DYHERNFURTH II
KOMANDO "LURANIL"

W/G. BOLESŁAWA USAREWICZA P-4399
ORAZ ZAŁĄCZONYCH ZDJĘĆ TEGO OBOZU z 1946r.

LEGENDA

-  BLOK MIESZKAŁNY ISTNIEJĄCY
-  BLOK NIEISTNIEJĄCY
-  SZUBIENICA
-  LATRYNY
-  TRUPIARNIA
-  BUNKRY DETONOWE DLA SS
-  SKŁADY DREWNY DRAMY DO OBOZU



REFLEKSJA

Z POBYTU W OBOZIE KONCENTRACYJNYM - KOMANDO "DYHERNFURTH"

Aresztowany zostałem 20.I.1944 r. w Łodzi z powodu znalezienia u mnie książek i prasy antyhitlerowskiej i pod zarzutem sabotażu pracy. Osadzony byłem w więzieniach gestapo przy ul. Sterlinga oraz przy ul. Anstadta w Łodzi i byłem więziony w czasie od 20.I.1944 do 20.III.1944, t.j. do transportu do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. W czasie pobytu w więzieniach przeszedłem kilka "przesłuchań" gestapo połączonych z torturami.

Do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen przewieziony zostałem transportem kolejowym w grupie około stu więźniów. Do obozu przybyłem 21.III.1944 r. Otrzymałem tam numer 23417.

W samym Gross-Rosen przebywałem stosunkowo krótko, niecałe 2 tygodnie. Nie zdążyłem i nie potrafiłem poznać i zapamiętać nazwisk załogi SS i nazwisk więźniów funkcyjnych. Zresztą byłem bardzo osłabiony i wyczerpany pobyt w więzieniu i "badaniami" gestapo, w wyniku czego moja zdolność obserwacyjna była wtedy bardzo osłabiona. Pamiętam tylko ryki kapów i SS-manów, bicie i pośpiech, jakie towarzyszyły życiu obozowemu niemal na każdym kroku. W Gross-Rosen nie miałem stałego przydziału do określonego komanda, pracowałem dorywczo w różnych komandach na terenie obozu. Najdłużej pracowałem w komandzie wykonywującym układanie nawierzchni ulic obozowych. Wyżywienie głodowe: rano 1/2 litra wodnistej zupy lub kawy z żołądźmi lub herbaty z zioł., w południe niepełny litr zupy na brukwi i różnych chwastach, kolacja znowu zupa na brukwi lub chwastach, zaprawiona mąką i solą. Wieczorem przydzielano na całą dobę średnio 225 g chleba i 20 - 25 g margaryny; czasem dawano kieszkę pasztetową /Leberwurst/, surową koninę /Pferdewurst/ i herbatę ziołową.

Z obozu macierzystego Gross-Rosen zostałem wysłany do jego filii, która nosiła nazwę "Arbeitslager Dyhernfurth II a/o, Lager Elfenhain", gdzie przebywałem w czasie od 5.IV.1944 do 25.I.1945 r., t.j. do dnia rozpoczęcia ewakuacji do Gross-Rosen. Komando Dyhernfurth II pracowało dla firmy "Luramilgesellschaft" z koncernu "I.G. Farbenindustrie". Budowane były potężne zakłady chemiczne /obecnie jest to część zakładów "Rokita" w Brzegu Dolnym/ pod nadzorem SS i kierownictwem technicznym niemieckich inżynierów. Praca na budowie była bardzo ciężka i rujnująca zdrowie niedożywionych więźniów. Jeśli chodzi o załogę SS-mańską, to pamiętam następujących osobników: 1/ Obersturmbahnführer Braun jako Lagerführer. W innych relacjach figuruje jako Brauer. Średniego wzrostu, dość szczupły. Miał maniery pruskiego oficera, nie brał bezpośredniego udziału w biciu i torturowaniu więźniów. Oczywiście był jednak służbiście wiernie wykonującym zarządzenia wyższych władz hitlerowskich. Wiek jego można ocenić na 60-65 lat. Nazywany był dziadkiem przez więźniów. 2/ Erwin Jirsak /niemckozne nazwisko z polskiego brzmienia Jerzak/ pełnił w Komandzie

funkcje, Rapportführera, miał stopień Oberscharführer. Wyróżniał się okrucieństwem i sadyzmem. 3/ Z Blockführerów pamiętam następujące osoby: Weiss, Schneider /rumuński volksdeutsch/ i Voelke /słowacki volksdeutsch/ - wszyscy trzej w stopniu Unterseherführerów. Charakteryzując ich postawę wobec więźniów, należy określić dwu pierwszych jako sadystów natomiast Voelke był raczej łagodnym SS-manem - krzyczał ale nie bił i nie tortutował.

Jeśli chodzi o więźniów funkcyjnych, to przypominam sobie następujące osoby: 1/ Lageraltester pod imieniem Herman, /nazwiska nie pamiętam/. Był to niemiecki kryminalista ale nie był specjalnie okrutny. 3/ Stanisławski Czesław - Schreiber, 3/ Szary Jan - prac. Schreibsstuby, 4/ Dr Hałgas - lekarz rewiru, 5/ Targowski Stanisław - pisarz rewiru, 6/ Abramowicz - prac. kantyny obozowej. Wymienieni pod poz. 2/ do 5/ byli Polakami, wykazali się dodatnią postawą wobec kolegów współwięźniów, starając się różnymi sposobami ulżyć doli więźniarskiej kolegów współwięźniów. Nie pamiętam nazwisk poszczególnych kapo i vorarbeiterów, wiem tylko, że byli to przeważnie kryminaliści, niektórzy okrutni wobec podległych im grup więźniarskich.

Jeśli chodzi o wyżywienie więźniów, to było ono może trochę lepsze niż w Gross-Rosen, ale również mało kaloryczne, i nie wystarczające do utrzymania sprawności i zdrowia przy tak ciężkiej pracy na budowie fabryki chemicznej. Wskutek złego wyżywienia i ciężkiej pracy na budowie śmiertelność była wysoka. Na 2 tys. więźniów w początkowym okresie mego pobytu w Komandzie ginęło przeciętnie od 15 do 25 więźniów tygodniowo. W końcowym okresie przed ewakuacją komanda, liczba więźniów wzrosła do 3 tysięcy i w tym samym stosunku wzrosła również liczba zamęczonych więźniów. Przytoczone liczby stanowią z grubsza ocenę stanu więźniów w komandzie i liczby ginących więźniów. Masowy mord więźniów komanda nastąpił w czasie ewakuacji z Dyhernfurth II do Gross-Rosen, o czym będzie mowa w dalszej części relacji.

Obecnie wymienię nazwiska więźniów komanda, które jeszcze pamiętam: 1/ Abramowicz - zatrudniony w kantynie komanda. 2/ Stanisławski Czesław - pisarz obozowy, 3/ Szary Jan - prac. działu przydziału pracy /Arbeitsteinsatz/, 4/ Dr Hałgas - lekarz rewiru, 5/ Targowski Stanisław - pisarz rewiru, 6/ Simon Władysław - fryzjer SS-mański, 7/ Kubacki Wacław albo Jerzy - /inż. budowlany/ - kapo Zeichnerkomando, 8/ Borowski Kazimierz - prac. w Zeichnerkomando /komando kreślarzy/, 9/ Feigin Stefan - prac. w Zeichnerkomando /komando kreślarzy/, 10/ Śliwiński Franciszek - prac. w Zeichnerkomando /komando kreślarzy/, 11/ Taras Aleksander - prac. w Zeichnerkomando /komando kreślarzy/, 12/ Wolski Tadeusz - prac. w Zeichnerkomando /komando kreślarzy/, 13/ Szymański Czesław - prac. w Zeichnerkomando /komando kreślarzy/, 14/ Adamiczka - /inż. metalurg/ prac. na budowie fabryki, 15/ Czechowski Tadeusz /nauczyciel/ - pracował na budowie fabryki, 16/ Czerwiński Henryk - młodociany zatrudn. na budowie fabryki, 17/ Michalski Edmund - młodociany zatrudniony na budowie fabryki, 18/ Obłucki Wacław - zatrudniony na bud. fabryki, 19/ Ostrowski Tadeusz - elektryk obozowy, 20/ Wiśniewski Zygmunt /inżynier/ - zatrudn. na budowie fabryki, 21/ Gil - zatrudniony na budowie fabryki.

Podkreślić należy że wymienieni więźniowie funkcyjni pod poz. 1 - 5 zachowali się zgodnie z postawą patriotów-Polaków i działali wiele dobrego dla więźniów komanda. Podobnie można ocenić kolegę Kubackiego J. wymienionego pod poz. 7. Jako kapo komanda kreślarzy był kulturalny i życzliwie nastawiony do podległych mu

więźniów jak i innych więźniów, którzy skontaktowali się z naszą grupą więźniów kreślarzy. W grupie tej byłem również zatrudniony jako technik geodeta /był to mój zawód przyuczony w okresie okupacji i ten zawód podawałem władzom hitlerowskim na wolności i w obozie, w danych personalnych. W komandzie kreślarzy wykonywano projekty i modele domków rodzinnych na zlecenie austriackich inżynierów, zatrudnionych na budowie. Należy podkreślić, że ci inżynierowie okazywali nam wyrozumiałość i może nawet współczucie i odnosili się do nas nie jak do więźniów, ale jak do ludzi wolnych.

Jako szczególne wydarzenie w podobozie Dyhernfurth II wymienić należy egzekucję przez powieszenie na polskim więźniu politycznym. Zachował się godnie przed śmiercią. Ponieważ więźniowie Polacy odmówili wykonania katowskiej czynności, do czynności tej SS-mani nakłonili /może zmusili/ więźnia narodowości ukraińskiej. Drugim wydarzeniem była ucieczka dwu więźniów komanda. Jakoby zostali oni schwytani przez ss-manów, ale trudno było stwierdzić nam więźniom, czy byli to ci sami uciekinierzy. Do obozu przywieziono zmasakrowane zwłoki dwu ludzi w pasiakach. Tuż po wykryciu ucieczki byliśmy bez przerwy trzymani całą noc na placu apelowym aż do czasu przyniesienia zwłok. Następnie odbyła się na rozkaz SS-manów defilada więźniów komanda przed zwłokami obu trupów, z obowiązkiem żałowania skrwawionych i zmasakrowanych głów zamordowanych więźniów.

W drugiej połowie stycznia 1945 r. zmalało tempo pracy na budowiefabryki. W końcu już grupy nie wychodziły do pracy poza obóz. Widać było kolumny niemieckich uciekinierów, posuwające się w kierunku zachodnim. Zbliżały się wojska Armii Czerwonej. Około 20 stycznia 1945 r. słyszeliśmy detonacje pocisków armatnich i lotniczych. 25 stycznia 1945 r. rozpoczęła się piesza ewakuacja z podobozu Dyhernfurthu II do Gross-Rosen. Podczas marszu ewakuacyjnego hitlerowcy rozstrzelali kilkuset więźniów. Według danych Informatora encyklopedycznego Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce do Gross-Rosen przybyło około 1 tys. więźniów z ogólnego stanu 3 tys. więźniów Komanda "Dyhernfurth II" przed ewakuacją. Rozstrzeliwanie więźniów rozpoczęło się dopiero po przekroczeniu rzeki Odry z prawostronnego na lewostronny brzeg. Sądzę, że SS-mani obawiali się dokonywać mordów na wschodnim od Odry terenie ze względu na możliwość ujęcia ich na gorącym uczynku mordów więźniów przez zbliżające się oddziały Armii Czerwonej.

Warunki ewakuacji były bardzo ciężkie. Nie dawano po drodze żadnego wyżywienia; w drodze więźniowie zmuszani byli do ciągnięcia pojazdów, ciężkich wozów kołowych, częstokroć pod strome pagórkowate wzniesienia. SS-mani popędzali maszerujących więźniów do coraz większego pośpiechu, wykazując wielką gorliwość w ucieczce przed zbliżającymi się wojskami radzieckimi. Kto nie nadążał, został zastrzelony. Po 2-ch dniach pozostający przy życiu więźniowie dotarli do obozu macierzystego Gross-Rosen w dn. 25.I.1945 r.

Nasza kolumna została zatrzymana przed bramą obozu i po wydaniu po 1 bochenku chleba poszczególnym więźniom popędzona została do dalszego marszu ewakuacyjnego. Ta druga ewakuacja trwała od 29.I. do 11.II.1945 r. i zakończyła się dotarciem do obozu "Mittelbau-Dora". Ewakuacja ta odbywała się częściowo pociągiem towarowym i częściowo pieszo. W czasie drogi wielu więźniów zmarło z wycieńczenia i głodu., ale jeszcze większa liczba więźniów zginęła od kul SS-mańskich. Liczby ofiar nie jestem w stanie ocenić; zresz-

tą kolumna ewakuacyjna składała się z więźniów należących do różnych filii obozu. Gross-Rosen.

Dalszych losów naszej katorgi więźniarskiej nie podaję w obecnej relacji, gdyż obecna relacja miała za cel opisanie przebiegu i warunków pobytu w Komandzie Dyhernfurth II, stanowiącym filię obozu Gross-Rosen.

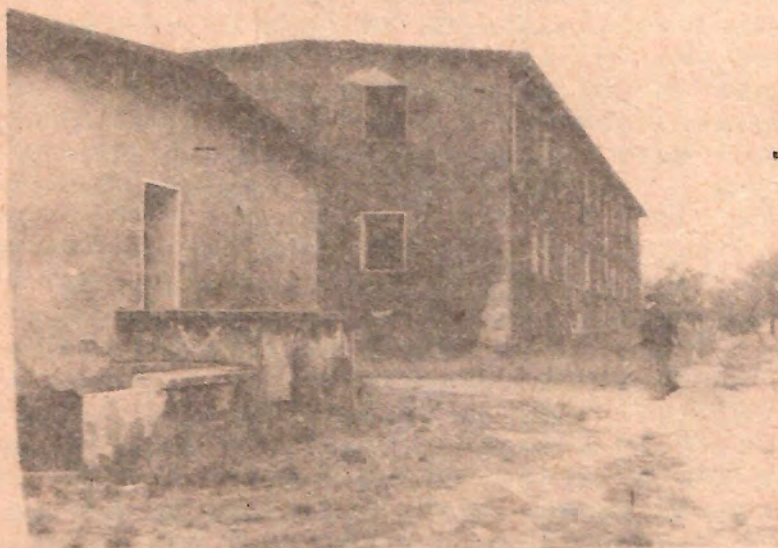
Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3.10.



Szczyt baraku SS oraz dyżurka SS. Dalej widoczny szczyt baraku kuchni więźniarskiej. Następny budynek mieszkalny więźniów (już nie istniejące).

foto B. Usarewicz

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.1.4.



Szczyt baraku kuchni obozowej oraz budynek mieszkalny więźniów.

foto B. Usarewicz

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.1.5.

DROGA PRZESZ KĄŻNIE

Prawdziwa męka rozpoczęła się już od chwili aresztowania. Podczas aresztowania próbowałem ucieczki, która nie udała mi się; zostałem postrzelony w prawą nogę, a przy tym dotkliwie pobity. Pobitego wrzucili mnie jak zwierzę na samochód i od czasu do czasu kopano mnie jak psa; zbroszonego krwią dostarczyli do "gestapo".

Z "gestapo" przewieziono pewną grupę więźniów w liczbie około 60-ciu do obozu Łódź-Radogoszcz. I tu przeniosę się myślą do kilku wspomnień - od chwili przybycia do Radogoszczy, aż do momentu wyjazdu do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Na dziedziniec obozu Radogoszcz wypędzono nas jak bydło, okładane pejcami, na końcu których obszyty był ołów w skórę. A na powitanie towarzyszył nam wrzask jednego z kluczników, hitlerowca z Polski, prawdopodobnie furmana z Łodzi o imieniu Józiu. Ów Józiu wrzeszczał: czapki z głów polskie świnie - przyszlście do świętego miejsca! Ustawiono nas pod murem, twarzą do ściany. Wydawało nam się, że pod tym murem będziemy rozstrzelani. Zziębniętych trzymano nas tak około 2-ch godzin. Następnie kolejno wołano nas na wartownię, tam odebrano nam wszystkie dokumenty osobiste, przy czym wysłuchiwalismy całej gamy obelg.

Serce drżało z żalu, łzy płynęły z oczu i pomimo otrzymywanych szturchańców milczeliśmy. Z kolei wpędzono nas do łaźni, kazano rozebrać się do naga. Jakiś, niby lekarz, Niemiec przeszukiwał kieszenie ubrań. Ta osoba, która zostawiła pieniądze, została wezwana i przykładowie pobita sękatą łaską z gruszkowego drzewa. Kara nie kończyła się na samym tylko pobiciu.

W łaźni tej znajdowało się koryto z zimną wodą. Tam wpychano więźniów i trzymano przez pół godziny. O wyłonieniu ciała z wody nie było mowy, bo zaraz lekarz ów bił i wpychał końcem łaski do koryta. Po tak zwanym "chrzcie" wydawać miano ubrania, które przeszły przez parownię. Lecz torturom nie było końca. Przyszedł ów Józiu mówiąc: teraz będzie prawdziwy chrzest bojowy. Zamknął drzwi na klucz i bezlitośnie rozprawiał się z nagimi ludźmi, bijąc potwornie pejcem aż do krwi, która bryzgała po ścianach. Po otrzymaniu odzieży kazano nam iść na górę.

W tym dniu w obozie była "sodoma i gomora". Żandarmi bili bez opamiętania, a inspiratorem tego bicia był Pelzhauser, gruby żandarm - dał on się nam we znaki tego i następnego dnia; czego nigdy nie zapomnę.

Podkładali żandarmi nogi biegnącym, a kiedy więzień przewrócił się, padali na niego inni, a oprawcy bili i bili aż do krwi. A kiedy na Anioł Pański w pobliskim kościółku biły dzwony, Józiu żandarm wrzeszczał: módlcie się, dzwonią na Anioł Pański, prosić waszą Matkę Boską niech się zlituje nad wami, niech was wybawi.

My bez jego drwin modliliśmy się w duchu: o Pani nasza, Oredowniczo nasza módl się za nami. I od tego dnia dziękuję Jej, że uprosiła dla nas żyjących łaskę u swego Syna. To trwało około 6

tygodni. Już nawet woleliśmy być w Dachau lub Oświęcimiu, byle nie tam. Aż wreszcie nadszedł dzień transportu - ale gdzie? Każdy z nas zadawał sobie to pytanie: gdzie?

Opatrzono rany, polecono wyprać zakrwawioną bieliznę. I wreszcie transport. Kiedy pytaliśmy Niemca, gdzie jedziemy, odpowiedział: na roboty. Odetchnęliśmy z ulgą, lecz nie wierzyliśmy i nie wiedzieliśmy jaki czeka nas dalszy los. Wyprowadzono nas poza bramę obozu; na ulicy stał tramwaj, do którego nas wpędzono; okna tramwaju były zabite, by nikt nie widział kogo wiozą lub żebyśmy nie dawali znaków ludziom na ulicy. Pomimo to ludność wiedziała o naszym transporcie i dochodząc do dworca kolejowego Łódź-Kaliska ludzie podawali nam chleb, szukając swoich bliskich. Płaczące matki żegnały swych synów lub żony swych mężów.

Jesteśmy w wagonie, żandarmi pilnowali nas bardzo dokładnie, a okna zamknęli na łańcuchy i kłódki, żeby nikt nie uciekł. A kiedy wjechaliśmy na tereny niemieckie, żandarmi zdjęli łańcuchy z okien. Jeden z żandarmów powiedział po polsku: pilnujcie się nawzajem, bo chociaż by jeden uciekł, dziesięciu innych będzie rozstrzelanych. Zrozumieliśmy, że nie jedziemy na roboty. Jechaliśmy w milczeniu, a jeżeli rozmawialiśmy to szeptem, bo oprawcy rozumieli po polsku.

Pamiętam w mroźny zimowy wieczór dojechaliśmy do celu. Wypędzono nas z wagonu, po czym przeszukano wagon, czy ktoś się nie ukrył. Następnie załadowano nas na auto wojskowe. W ciemnościach nie wiedzieliśmy, co to za wojsko. Dopiero kiedy samochody zatrzymały się przed bramą, na której widniał napis Konzentrations-Lager Gross-Rosen, przy oświetleniu rozpoznaliśmy formację tegoż wojska - to byli przekłęci esesmani.

Ustawiono nas piątkami, tak jak to zwykle czyniono w obozach koncentracyjnych. Transport nasz liczył od 60-ciu do 80-ciu ludzi; dokładnie nie pamiętam. Tak, jak nie pamiętam daty przybycia, ani jaki to był dzień - o tym nikt z nas nie myślał. Usłyszeliśmy tylko, co nas czeka i czy przeżyjemy.

Wprowadzono nas do obozu, postawiono na wolnym powietrzu. Pada komenda: Müttzen ab! /czapki z głów/, a wokół nas kręcili się esesmani; nie wiedzieliśmy, jakie plany snują. Psy niepokoiły nas, wymachując ogonami, czekały na rozkaz, by szarpać ludzkie ciało; - i tego doczekaliśmy się.

Po pewnym czasie wpędzono nas do sutereny jakiegoś baraku, ustawiono nas piątkami pod ścianą, a esesmani robili przegląd, oczywiście w asyście psów. I o zgrozo, z tego transportu wyciągnięto 3-ch starców. Jeden esesman wymyślał im, po czym sierpowym ciosem uderzył w twarz, a gdy starzec upadł - najsamopierw kopiąc później wskoczył leżącemu na piersi i brzuch, zarywając wnętrzności.

A do uszu naszych dochodziły jęki konających ludzi. W ten sposób zginęli trzej starcy.

Nie jestem w stanie opisać lęku, jaki ogarnął pozostałych więźniów. Nikt nie chciał stać w pierwszym szeregu, obawiając się dzielić los tych osób, którzy już nie żyli, zamordowanych na naszych oczach.

Z owej sutereny zabierano pojedynczo do innego pomieszczenia, gdzie kazano rozbierać się do naga. Pomieszczenie, w którym się rozbieraliśmy, było przewiewne, poprostu był przewiew. Przy rozbieraniu obecny był esesman, który bardzo pilnie wpatrywał się w więźnia. Osobie, która miała na szyi przedmiot sakralny, krzyżyk lub medalik, esesman nakazał zdjąć ten przedmiot, rzucić na ziemię i podeptać. Nikt nie wykonał tego rozkazu, mówiąc: nie rozumiem. Esesman sam zrywał i deptał, a więzień był maltretowany

kijem grubości trzonka od łopaty. Niejeden stamtąd wyszedł zakrwawiony, a nawet ze złamanymi kończynami. Mnie los też nie oszczędził. Zdarzało się, że więzień poruszał się o lasce, laskę łamano na kawałki, szukając w niej rzekomo przechowywanego złota. Więźnia pozbawiono środka, za pomocą którego miał się poruszać. Zabierano również okulary.

Następnym etapem naszej drogi, to łaźnia. Po kąpieli wydano bieliznę osobistą przysługującą więźniowi, płaszcze, klapki drewniane bez pięt, lub tak zwane "holendry", bez skarpet, bez ubrania i czapki. W tym stroju kazano nam maszerować po śniegu 3 km, a z nas buchała para, bo tak schło nasze ciało i powoli stygło. Brocząc po śniegu na wpool nadzy rozglądaliśmy się, a przed naszymi oczyma rozciągał się las światła na parkanach i niezliczone szeregi baraków ciemnych, nieoświetlonych. Tam spali więźniowie twardym snem. Oni podobnie jak my przechodzili katusze. A kiedy rano poszliśmy do roboty, podchodzili do nas starsi więźniowie, mówiąc: widzieliśmy jak was gonili po śniegu w nocy. A jednak wy nie spaliście? Tak, spali, ale nie wszyscy. I znów pytano, co słyszać w kraju? Więzień ten mówił: zostawiłem w domu matkę staruszkę, chorą żonę i troje małych dzieci, czy oni jeszcze żyją? I zapłakał. Nie wiem o czym on myślał, znać modlił się, bo co chwilę wznosił oczy ku niebu, a po jego twarzy toczyły się jedna po drugiej łzy.

Po przebyciu tej drogi, dygocących z zimna zapędzono nas do baraku Nr 9, w którym blokowym był Ukrainiec, słynny Iwan. Jego imię znał każdy więzień w Gross-Rosen. Wchodząc tam zdawało się nam, że już koniec bicia. O, nie! Pomyliliśmy się. Iwan przeprowadzał z każdym osobno rozmowę. W ten sposób wyszukiwał ludzi z lwowskim akcentem i na nieszczęście znalazł jakiegoś profesora ze Lwowa. W pierwszej kolejności z nim się rozprawił, pozbawiając go życia; - bił głowę o mur, aż pękła głowa, po czym polecił zmyć krew ze ściany, sam obmył zbrukane we krwi bandyckie łapy. Trupa rzucił pod okno, a nas "usadził" na podłodze. Miał stos skarpet, czapek i ubrań. Iwan mówił: będę was uczył numerów po niemiecku; wolno pomylić się dwa razy, za trzecią pomyłkę będę bił. A ponieważ nikt nie umiał po niemiecku wymawiać cyfr, wobec czego każdy oberwał, i to przykładnie. Wywoływał numer i więzień musiał się zgłosić; przy czym rzucił jedną skarpetkę, potem drugą itd. Wywołując tak uczył nas na pamięć wymawiać bezbłędnie numery. Od tego czasu staliśmy się tylko numerami, bez nazwisk.

Ta lekcja trwała do godziny 3-ej nad ranem. Iwan polecił rozłożyć sienniki, w których nie słoma, lecz sieczka była. Wszyscy zasnęli, a we śnie widzieliśmy całą przebytą przez nas drogę, nie wiedząc, jaki czeka nas los. Godzina 5-ta rano; odezwały się gongi na pobudkę. A Iwan wrzeszczał: Aufstehen, Bettbau /wstawac ścielić łóżka/. Zerwaliśmy się, jak opętani, nie wiedząc, co mamy w pierwszej kolejności robić, czy ubierać się, czy znosić sienniki na wyznaczone miejsca. Drżeliśmy z zimna, bo spaliśmy przy otwartych oknach. Kiedy wszystko zostało uporządkowane, na podłodze nie mogła zostać najmniejsza odrobina słomy. Tu należy zaznaczyć, że sienniki były papierowe i okropnie z nich się pruszyło. Następnie wyszliśmy na apel. Na widok esesmana drżeliśmy, jak liście na osice, obawiając się, czy nie spadną na nas ciosy kija, którego esesman miał w ręce. Po apelu śniadanie: 1/2 l. zupy. A po śniadaniu do roboty.

Przydzielono nas do "Lager-Komando", którego kapo - potężny Niemiec recydywista - bezlitośnie pędził nas do roboty, niesamowicie wrzeszcząc: Schnell, schnell - arbeit i okładał kijem. Po-

mocnikiem, tak zwanym "Vorarbeiterem" był Czech. Ten krzyczał, lecz nie bił. Nasze komando wozilo kamienie na rolkach, bo rozbudowywano obóz. Tory były słabe, często się rozchodziły, przy czym rolka wypadała z szyn i w czterech trzeba było wstawić wózek pod ciężarem na szyny. Tu nic nie pomogło, ni płacz, ni lęk. Wózek trzeba było wstawić, jeżeli nie chciało się oberwać kijem. Wspomagała nas cicha modlitwa w tych ciężkich chwilach.

Na obiad nie było zbyt dużo czasu - zaledwie 1/2 godz., bo "cugangi" musieli dostać szkołę. Na każdym kroku słysząc było wołanie: Zugange antreten /to znaczy "cugangi" zbiórka/ - biegiem do roboty. Zimno i głód dokuczał, a my jak nędznicy gramoliliśmy się na śniegu.

Po powrocie z roboty z kamieniołomów każdy więzień musiał wnieść na barkach kamień. Przy dźwiękach marsza kolejno komanda wchodziły do obozu, a w oddali słysząc było komenderowanie kapo: links, links, zwei, drei, vier - aby wszyscy utrzymali krok. Bo biada temu, co nie utrzymał kroku; - a już nie żył ten, co się przewrócił z kamieniem. Nie dość że kamień go poranił, czasem i łamał kości, esesmani dobijali więźnia. Wracaliśmy tak okrutnie zmęczeni, zziębnięci i wyczerpani, słaniając się na nogach.

Kiedy ktoś nie wytrzymywał nerwowo, poprostu nie mógł znieść tortur, rzucił się na druty wysokiego napięcia na parkanie i ginął, bo lepsza i szybsza była taka śmierć, niż ciągły strach, nie wiedząc, co czeka go jutro.

Hitlerowcy, chcąc zamaskować liczebność więźniów w obozach, zamiast kolejnych numerów nowo przybyłym do obozu więźniom dawali numery po więźniach zamordowanych. W ten sposób ukrywali ludzi zamordowanych, wykazując się zawsze pełnym stanem jakoby więźniów zamordowanych nie było. O tym przekonaliśmy się już w obozie, poznając po tym, że więźniowie, którzy wcześniej przybyli ode mnie mieli wyższe numery, niż my z nowego transportu.

Każdy dzień wiekiem się zdawał. Aż pewnego razu w porze obiadowej przyszedł jakiś więzień pełniący funkcję na tak zwanej "sgrajbsztubie" i polecił Iwanowi zrobić "antreten" wszystkich "heftlingów" zwanych "cugangami". Więzień ten był narodowości czeskiej. Powiedział, że potrzeba 60-ciu "heftlingów" na transport do innego obozu, do pracy przy budowie fabryki, ale tylko ślusarzy. Wypytywał o staż pracy w zawodzie ślusarza. Zgłosiłem się i ja ponieważ uczyłem się tego zawodu w Warszawie. Czech odrzucił mnie, ponieważ byłem za młody, a staż nauki w zawodzie ślusarza nie kolidował z moim wiekiem; miałem niespełna 19 lat. Na usilną moją prośbę zapisał mój numer, ale nie dał zapewnienia, że uda mu się coś zrobić; powiedział: pomyślę o tym - i odszedł. Ja w niepewności czekałem wiadomości od Czecha. Następnego dnia, a była to sobota, bo tak mówił Czech, wyczytał numer i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i radości wywołał mnie pierwszego, a wśród innych kol.kol.Piaseckiego Stefana i Libnera Zdzisława, z którymi się przyjaźniłem; obaj pochodzili z Włocławka.

Wygolono nam pasy na głowach szerokości 3 cm; wyglądaliśmy jak zebry. Pozbawiono nas godności ludzkiej. Czech wywołał mnie dyskretnie na dwór, idąc wyjaśnił: Miałem wzgląd na Twój młody wiek oraz to, że tu zginiesz. Lubię cię, chociaż krótko cię znam. Ale uważaj - urodziłem się nie w 1923 roku, a w 1922r.; pamiętaj o tym; poprawiłem datę urodzenia w dokumentach; pamiętaj o tym. I istotnie pamiętałem i pamiętam do dnia dzisiejszego i jestem mu za to wdzięczny, chociaż już nigdy w życiu go nie spotkałem.

Wydano nam obiad - pół ziemniaka i około 50 gramów jakiejś tam "zołzy". Tuż po zjedzeniu obiadu, który trwał może więcej niż

1/2 godz., załadowano nas na traktor z dwoma przyczepami i 4-ch esesmanów. Jechaliśmy w nieznane, bo któż by mógł się zapytać, gdzie jedziemy. Jechaliśmy na odkrytych przyczepach, siedząc na podłodze, by nikt nie mógł rozpoznać, co to za ludzie jadą.

Robiło się już szaro, jak dojechaliśmy na miejsce. Traktor nie mógł wjechać na teren obozu; zatrzymał się na głównej drodze w lesie prowadzącej w kierunku Odry. Traktor odjechał, a z nami robiono musztrę, chociaż byliśmy zziębnięci, a zapryskane nasze twarze przez błoto upadabniało nas do Murzynów. Błyszczwały nam tylko zapadnięte w oczodoły oczy. Pięćset metrów marszu; jesteśmy na miejscu i o zgrozo - ten sam widok "bocianice", zasięki, parkan pod wysokim napięciem i światła na słupach parkanowych. Podobni esesmani i psy w ich towarzystwie. Pada komenda: Komando halt! czapki z głów i pouczenia, że stąd jeszcze nikt nie uciekł, chyba że przez komin w Gross-Rosen. Po zakończeniu zastraszającej przemowy esesmańskiej przemarsz przez bramę; pada znów komenda: halt!

I od tego momentu ze "szrajbsztuby" wyszli więźniowie funkcyjni i wszyscy blokowi. Ale najsamprzód "musztra", której prosił mi wybaczyć - nie powtórzę, bo drzę cały, a oczy zachodzą łzami. Wreszcie "schreiber" /pisarz/ powiedział: przeszliście dobrą szkołę. Wywoływano poszczególne numery przydzielając na bloki. Najwięcej "heftlingów" z naszej grupy przydzielono na blok 5-ty do blokowego Motzkusa, grubego Niemca; tam zamieszkałem i ja.

Strach doprowadził do tego, iż pomimo, że znaliśmy nasze numery, myliliśmy się. Tak mnie się przydarzyło. Wystąpiłem na wywołanie numeru 23449, a ja byłem oznaczony numerem 23459. Dopiero kiedy po raz drugi wywołano mój numer, znów się zgłosiłem, drżąc ze strachu. Podeszedł do mnie "szreiber", a był to Polak, dobry i zrównoważony, wziął mnie za ramię i powiedział: nie bój się, nikt cię nie pobije. "Szrajbsztuba" obsadzona jest przez Polaków, nie będziemy wam robić krzywdy. Słyszając to, łzy spłynęły mi po policzkach. Do tego "szrajbera" Polaka - miał na imię Czesław, nazwiska już nie pamiętam - podeszedł wysoki mężczyzna, też "heftling" i jak się okazało był to kucharz Polak z Nowego Targu; powiedział mu coś szeptem.

Każdy blokowy zabrał swoich "heftlingów" /więźniów/. Wprowadzono nas na "sztubę" 7-mą, w której "sztubowym" był Holender; miał na imię Tynes. Nastąpiło przydzielanie miejsc do spania i ponowne pouczenia, czego nam nie wolno, a co powinniśmy robić szybko. Po pierwsze, ubrania należy ułożyć w kostkę na stołach, klapki drewniane pod kostkę na ziemi itd. Rano godz. 5-ta pobudka, ubieranie się szybko - nie dłużej niż 5 minut. Następnie "bettbau" /słanie łóżek/ i jak muszą być zasłane. Jeżeli ktoś źle posłał łóżko, robił "sport": padnij, powstań, padnij, żabka, rolowanie po ziemi itp. W dalszych instrukcjach, podanych przez tego Holendra, poinformowano nas, że ten obóz nazywa się Dyhernfurth II i jest filią obozu Gross-Rosen i liczy 3.000 więźniów.

Po pewnym czasie przyszedł ten sam kucharz, który rozmawiał ze "szrajberem", odnalazł mnie i podał mi "pajdkę" chleba, tak się po obozowemu mówiło. Nie wiedziałem, jak mu dziękować. Muszę tu zaznaczyć, że w tym transporcie byłem najmłodszym więźniem, stąd ta litość nade mną ze strony starszych, będących na funkcjach Polaków. Uspokajał mnie i ostrzegał, że jeżeli będę płakał - nie przeżyję.

Godzina 21-sza, wszyscy do łóżek, zmęczeni zasnęliśmy, spaliliśmy nakryci tylko jednym kocem. Okna otwarte były naściernie, a padający w nocy śnieg wpadał przez okna na śpiących więźniów. Taka

kwarantanna trwała tak długo, dopóki nie przyszedł nowy transport więźniów. Dzięki opiece tego kucharza, który mnie pocieszał i od czasu do czasu przyniósł coś do jedzenia, w końcu przeniesiono mnie na "sztubę" pierwszą, gdzie spali kucharze; przetrwałem najcięższe chwile.

Po przybyciu na blok 5-ty mieszkający tam więźniowie przychodzili szukać, czy wśród nowo przybyłych więźniów nie znajdą kogoś z rodziny lub znajomych. I istotnie na "sztubę" 7-mą przyszedł znajomy z Koluszek o nazwisku Jan Chojnacki. Był tam również leśniczy z Zielenina, dobry znajomy mojego ojca, nazywał się Fabiański. Ten ostatni umarł na jednym z apeli. Kiedy padła komenda: całość baczność - pan Fabiański nie mógł utrzymać równowagi, był bardzo chory, padł na ziemię. Pradopodobnie już nie żył, bo po apelu zabrano go na "rewir", gdzie była skrzynia na trupy, ale o niej opiszę później. A teraz kilka słów o położeniu obozu.

Obóz Dyhernfurth II usytuowany był w lesie w odległości od 1200-1500 metrów od obecnej fabryki zwanej "Zakłady Rokita", po lewej stronie drogi idącej od Odry i w/w zakładów. Obóz z drogi nie był widoczny, a dojazdowe drogi do obozu były tak usytuowane, że wchodziło się w las, nie wiedząc dokąd dana droga prowadzi. Zresztą droga główna była zamknięta dla prywatnych pojazdów, a to w tym celu żeby nikt nie widział świateł palących się nocą na parkanowych słupach.

Blok 1 i 6 były to baraki drewniane, parterowe. Natomiast pozostałe bloki były murowane i jednopiętrowe. Na "appelplatzu" ustawiona była szubienica. Podłogi w blokach były z cegieł, jak również piece. Do pewnego czasu były łóżka, lecz w miarę napływu nowych transportów z więźniami brakowało miejsc do spania; wyrzucano łóżka i spaliśmy na ziemi. Do spania rozkładano sienniki, a rano układano je w rogu "sztuby" /izby/. W "sztubie" znajdował się stół ze stołkami i szafka na miski. W takim pomieszczeniu spało od 10 do 36 więźniów; było bardzo ciasno. Władze w bloku sprawował blokowy, a do pomocy miał tak zwanego "kalifaktora", o niższych uprawnieniach. Blokowy i "kalifaktor" mieli osobne pomieszczenie do spania. W bloku były dwie umywalnie na parterze i na piętrze, zwane "waschraumami". Na środku tej umywalni było koryto do mycia z zimną wodą, w której zawsze się myliśmy. W nocy nie wolno było wychodzić na zewnątrz bloku. Nocą wystawiana była "nachtwacha" nie zezwalająca nikomu na opuszczenie bloku. Potrzeby fizjologiczne załatwiano się do ustawionych na noc "kibli", które rano wynoszono do "latryny", znajdującej się w jednym końcu obozu. Przed pełnieniem funkcji "nachtwachy" jedni się bronili inni pełnili ją chętnie, ponieważ otrzymywali 1/2 l. zupy więcej. Ale to nie rekompensowało nieprzespanej nocy. Bo biada, żeby "nachtwacha" zasnęła; były przeprowadzane kontrole przez esesmanów. Rano zabierano takiego więźnia na "appelplatz" na "sport", gdzie zdarzało się, że podczas takiego morderczego "sportu" padali trupem z wycieńczenia fizycznego. Inni znów, którzy nie spali na "nachtwache", zasypiali przy robocie, na terenie fabryki. Zasypiali biedacy tak twardo, że nie obudzili się na obiad. Natomiast kapo i "Vorarbeiter" czuwali nad tym, żeby mieć cały stan Komanda przy obiedzie lub na "fajerancie".

W przypadku nie doliczenia się jakiegoś więźnia kapo natychmiast meldował do "komando-führera" esesmana, który zarządzał zbiórką.

Zawyła syrena, to był dla nas znak, że jest "antreten"/zbiórka/. Wszystkich więźniów z terenu fabryki odprowadzano do obozu, a esesmani i kapo powracali szukać zaginionego. Przeważnie odnaj-

dowano takiego więźnia. Więzień ów to nie kto inny jak "muzulman". Muzulman, to osoba całkiem wyczerpana, bez ciała, skóra i kości. Więzień ten zasnął ze słabości pomiędzy workami z cementem. Pomimo, że zasnął - nazwano go uciekinierem.

W tym czasie, kiedy szukano więźnia, bez względu na pogodę; deszcz, śnieg lub wichura. Tak długo wszyscy więźniowie musieli stać, dokóki nie znalazł się mniemany uciekinier. Kiedy wystawiano nas na zimno ze zdjętymi czapkami, które dość często się powtarzało, myśleliśmy o samoobronie przed zimnem. Na terenie fabryki wybieraliśmy co czystsze worki od cementu i zakładaliśmy sobie pod koszulę taki worek papierowy; chronił nas od zimna. Blokowi donosili o tym esesmanom, ci znów robili kontrolę, znajdując ten papier na ciele bili nas. Worków od cementu wywieziono z obozu dwa ciężarowe samochody. Pomimo to, iż często robiono kontrolę, my w dalszym ciągu zakładaliśmy papier, nie bacząc na bicie, jakie nam groziło z tego powodu.

Po doprowadzeniu mniemanego uciekiniera do obozu, stojących zwalniano na bloki, a ów delikwent, ubrany w wysoką czapkę jak w cyrku klaun, z tablicą na piersiach i na plecach z napisem: "hurra, hurra, ich bin wieder da" /to znaczy: cieszę się, że znów tu jestem/ był ustawiony w bramie na widok publiczny. Kiedy po godzinie 21-ej wygaszono światła w blokach - myśmy patrzyli. Widzieliśmy bezradni skazanego na śmierć przez powieszenie więźnia.

A naprawdę uciekiniera wieszano. Pamiętam dokładnie ten obraz, jak wieszali Rosjanina. Po wieczornym apelu doprowadzono skazańca; więźniowie pozostali na placu; następnie postawiono go na desce szubienicy. Pętlę, pamiętam, zakładał mu Rosjanin "sztubowy" sztu-by 4; miał na imię Iwan. Zakładał mu tę pętlę, bo go do tego zmusili, a przecież był to dobry człowiek. A w ostatnich słowach skazaniec wykrzyknął: "da здравствует руски i polski narod, da здравствует tow. Стал..."; w tym momencie "raportführer", esesman ze Śląska, wykopał mu deskę z pod nóg. Tej scenerii przyglądali się więźniowie; widok przerażający; skazaniec miał związane ręce do tyłu; bronił się nogami, podciągnął je raz i drugi do góry, lecz gdy sił mu zabrakło, całą siłą opuścił nogi. I tak zawisł człowiek, który pragnął być wolnym. I był wolnym, bo już nie żył, był wolny, bo plugawy esesman nie pluł mu już w twarz i nie maltretował jego ciała.

Znam również inny wypadek i los uciekinierów; było ich 3-ch: jeden Polak i dwóch Rosjan. Wszystkich trzech zabito kulami. Wszystkich ułożono na ziemi na "apelpłacu", a nam kazano zdjąć czapki z głów i patrzeć na nich. Mieli powyrywane dziury w brzuchu lub w piersiach, tak, że wszystkie wnętrzości było widać. Innym znów razem powracaliśmy z roboty, a przy bramie na marach leżał trup. Przechodzące "komanda" musiały patrzeć na niego. Pada komenda podana przez kapo: Kommandooo...Mützen ab, die Augen links! I właśnie z naszego "komanda" Żydek nie mógł patrzeć i nie odwrócił głowy. Esesman zatrzymał "komando", dał rozkaz w tył zwrot i wrzeszczał: Żydzie, dlaczego nie patrzyłeś? "Heftling" się tłumaczył, że patrzył tylko szybko odwrócił głowę. Nie było tłumaczenia. Esesman kazał mu położyć się na trupie i całować go. Żydek rozkaz wykonał - w przeciwnym razie sam by zginął. Więzień posiłku już nie jadł, skarżąc się, że mu jedzenie stoi w gardle.

Raz zdarzył się taki przypadek: kazano nam robić porządek wokół obozu. Rosjanie z naszego komanda gdzieś w psich budach znaleźli jedzenie dla psów: suchary i wszystko co było do zjedzenia. Wykradliśmy to, jedząc, bo głód nam dokuczał. Jeżeli u kogoś zna-

leżli chociaż okruchy psiego jedzenia, podczas kontroli na bramie, strasznie za to bili. Taki głód panował w Dyhernfurth II. W obozie głównym pożywieniem była "zupa". Pomimo głodu ciężko było to przełknąć. Jeżeli nie chcieliśmy tego jeść, esesmani bili kijami, krzycząc: wy jesteście bydłem, co chcecie więcej? Myśmy po kryjomu wylewali to bydłace żarcie do latryn, za co groził strychezek, ale tego naprawdę nie można było jeść, pokrzywy były lepsze niż to.

Był rok 1944 latem; esesmani nakazali śpiewać do marszu, kiedy szliśmy do roboty. Przez pewien okres śpiewaliśmy po polsku, ale komuś się to nie podobało i polecili uczyć się śpiewać po niemiecku pod przymusem. Ponieważ miałem zdolności śpiewacze, blokowy Mockus posłał mnie na inną "sztabę" uczyć śpiewu "haftlingów". Na tej sztabie byli sami Chorwaci, rozumieli mnie, gdy do nich mówiłem po polsku, a nawet trochę śpiewali. Ale kiedy na kontrolę przyszedł blokowy, podałem ton, a Chorwaci nie otworzyli nawet ust; stali jak zakłęci. Nie przypuszczali, jaki los zgotowali mi swoim milczeniem. Mockus, to ten blokowy, pobił mnie tak silnie, że cały zboczony krwią upadłem na ziemię, a ten kopiąc mnie wrzeszczał, że zabije jak psa, albo zawołał "blockführera" Weisa; - bo ten esesman tak się nazywał. Ten oprawca znęcał się nad więźniami na "appelplatzu", zamęczając na śmierć podczas "sportu", o którym już poprzednio wspomniałem. I gdyby nie nadszedł ten Holender Tyneś, oddałbym w ten czas ducha. On mnie uratował i zabrał z powrotem na swoją "sztabę".

Tego lata miałem strasznego pecha. Pewnego dnia siedziałem przy obiedzie tuż przy oknie; za oknem przechodził Rapportführer, esesman ze Śląska; łotr umiał po polsku. Stał za oknem i coś marmudził; kazał otworzyć mi okno. I zapytał: schmeckt gut? Odpowiedziałem: Jawohl! Herr rapportführer; - ten bandyta kopnął mnie w piersi łamiąc mi żebro. Na "rewir" nie poszedłem, bo tam by mnie dobił, gdyby przyszedł na kontrolę. Zawsze krzyczał: tam w skrzyni jest jeszcze dla ciebie miejsce. Skrzynia stała przy "rewirze", tak, że jeżeli ktoś umarł lub został zabity, wrzucano trupa do skrzyni i raz lub dwa razy w tygodniu wywozili do Gross-Rosen do krematorium.

Pech prześladował mnie nieustannie. Pewnej soboty po południu nasze komando musiało pracować. Dopasowywałem "flansze" do kotła. Cywilni majstrowie nie pracowali na tej kondygnacji bloku fabrycznego. Po prostu cywile po południu w sobotę nie pracowali. Byłem sam w tym końcu hali fabrycznej. Niespodziewanie przyszła cywilna Niemka; szukała mojego majstra; zapytała mnie, czy tu nie ma pana Hucklebrings? Odpowiedziałem, że dzisiaj mój majster nie pracuje. Na tym nasza rozmowa się zakończyła. W tym momencie wszedł esesman i krzyczał, co za interes mam do cywilnej kobiety. Nie pomogło jej wyjaśnienie. Niemkę gdzieś wyprowadził, a po mnie powrócił; nie pozwolił mi nawet odnieść narzędzi, którymi pracowałem. Kolbą karabinu pchał mnie ku przodowi. Tego samego dnia wywieźli mnie do "sztrafkomanda" do Gross-Rosen.

Już zgasła wszelka nadzieja, że przeżyję. Dostałem się w ręce blokowego, Vogla, który był w "sztrafkomandzie" panem życia i śmierci. Tam naszyto mi czerwoną szmatę na plecy i na spodnie i rozpoczęła się męczarnia w kamieniołomach. Stamtąd droga do wolności była jedyna - przez komin. Nie jestem w stanie tego dokładnie opisać, przeżywając to po raz drugi, przelewając to na papier. Pośiłki w "sztrafkomandzie" jadło się prawie w biegu; zaledwie zdążyło się wypić zupę, a brukiew lub buraki wkładało się do kieszeni i ukradkiem jedliśmy, żeby nie zauważył blokowy. Bo nie dość, że zabrał brukiew i wyrzucił, to więźnia pobił lub zepchnął ze skały.

Po 14-tu dniach przyszedł po mnie esesman, wywołując mój numer. Na widok esesmana z karabinem w ręce w myślach żegnałem się ze światem. Esesman prowadził mnie przed sobą, a ja modląc się w myślach prosiłem Boga o lekką i szybką śmierć. Esesman zaprowadził mnie na wartownię, obok której leżały psy; i to mnie bardzo zaniepokoiło. Postawiono mnie na wprost okna wartowni. Po pewnej chwili odbywał się nade mną tak zwany "Sondergericht". A mnie tak bardzo zaschło w gardle, że czułem ból; pobladłem i ręce mi drżały. Ale tu nie o mnie chodziło, mnie można było zabić bez sądu, ja byłem dla oprawców śmieciem, który można było zdeptać na pył, wgnieść w ziemię.

Chodziło oczywiście o Niemkę, z którą rozmawiałem; ja chciałem od winy uwolnić. Ona też była na tym sądzie, ale zeznania składałyśmy osobno. I tak też się stało: ja zwolniono, a przy tym i do mnie los się uśmiechnął. Zostałem zwolniony ze "sztrafkomanda" i na powrót przywieziony do Dyhernfurth II. Uznałem to za cud, że przeżyłem. Ale to, że przeżyłem, zawdzięczam mojemu majstrowi Antoniemu Huckenbingowi.

W Dyhernfurth II było kilkudziesięciu więźniów młodocianych. Oni zatrudnieni byli przy zbieraniu złomu. Ich komando nazywało się "schrauben-komando". Ci chłopcy zbierali złom i inne przedmioty rozrzucone na terenie fabryki. Pewnego razu młody chłopiec w wieku 12 lat podeszedł za blisko do parkanu, tam zbierał ten złom na oczach wszystkich tam obecnych Niemców cywilnych i więźniów. Z "bocianicy" padł strzał. Wachman zastrzelił tego chłopca, oskarżając go, że chciał uciekać. Na terenie fabryki zawrzało. Niemcy cywilni zaprotestowali, bo oni go tam posłali. Zobaczyli sami, jakimi metodami i w jak perfidny sposób obchodzono się z więźniami. Cywilni majstrowie nie wiedzieli, co z nami wyrabiają esesmani. Myśmy o naszych warunkach i sposobie męczarni, jakie przechodzieliśmy, opowiadali cywilom. Oni zaś w milczeniu słuchali, przenosząc te wiadomości swoim zaufanym, a nam kazali uważać na siebie, by nie usłyszeli esesmani. Cywilni Niemcy z "ukosa" patrzyli na esesmanów.

W obozie Dyhernfurth II warunki sanitarne były nie do zniesienia. W szczególności brak ciepłej wody do mycia. Mydło mieszane było z piaskiem, lub z ludzkiego tłuszczu, od którego szybko dostawało się wszy. I istotnie w obozie panowała wszawica. Nie dość, że głód nam dokuczał, to jeszcze w dodatku wszy piły naszą krew, a przecież nie mieliśmy jej za wiele. Pomimo to, że wygolino nam wszędzie zarost. Wszy panoszyły się gnieźdząc się w szwach koszul. Kiedy tylko nadarzyła się okazja rozpalić gdzieś ognisko, trzymaliśmy koszule nad ogniem, by tępić robactwo. Lecz to nie zdawało egzaminu. Wszy panoszyły się dokuczając więźniom do tego stopnia, że wstyd było nam się drapać w obecności cywilnych majstrów. Więźniowie masowo chodzili do "latryn" by w ukryciu tępić je; lecz po niedługim czasie znów było pełno wszy, do tego stopnia, że wychodziły już nam na pasiaki. Pewnego razu zauważył mój majster wszy na moich pasiakach, popatrzył się, odwracając się dyskretnie ocierał łzy. Z moim majstrem byłem szczery, bo i on nieraz dzielił się ze mną swoim śniadaniem. Tem człowiek pocieszał: już niedługo wojna się skończy i zabiorę Cię do siebie do domu.

Za ich pośrednictwem potajemnie wysyłałem listy do moich bliskich w kraju. Raz zdarzył się taki przykry przypadek: majster cywil otrzymał dla mnie paczkę, która przyszła na jego nazwisko. Prawdopodobnie człowiek ów był antyhitlerowcem i być może był pod obserwacją. Był podejrzany, że współpracował z Polakami. Człowiek ten został aresztowany i jak się później dowiedziałem od innego

majstra nazywał się Józef Sauer. Niemiec dostał 5 lat "zuthauzu" a mnie nie wydał. Pamiętam zimowy wieczór, była zawieja śnieżna, nakazano wszystkie rzeczy osobiste i koce odnieść do parowania, czyli do odwyszalni. Rozkazano rozebrać się do naga i w stroju "adamowym" odnieść ubrania w śnieżną zadymkę. Robiliśmy to nie bacząc na zimno. Rzeczy odnoszono "sztubami"; po powrocie z parowni drząc z zimna czekaliśmy na nasze ubrania i koce. Pozbawiliśmy się wszy, lecz nabawiłem choroby, dostałem zapalenia płuc. Ciężko chorowałem, w gorączce majaczyłem, tak mówili koledzy. Dzięki temu "sztubowemu" Holendrowi ocalałem od śmierci. Holender nocą wydostał się na "rewir", nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie mu groziło ze strony esesmanów. Przyniósł mi aspirynę, narzucił na mnie kilka płaszczy, bym się wypocił. Wypociłem się, ale do pracy rano iść musiałem. Holender, to ten Tynes, nie pozwolił mi chodzić na "rewir", bo tam bym nie przeżył.

On się mną sam opiekował. Po powrocie z roboty ponownie kładłem się do łóżka, a Holender kurował mnie nadal. Żeby przeżyć w tych warunkach i znieść tę chorobę, to chyba należało nazwać cudem. Po chorobie wyglądałem bardzo źle, przeraźliwie blade, opadłem z ciała. Prześladowała mnie ciągle myśl, że moje dni są policzone. Strasznie bałem się, żeby mnie nie palono po śmierci. Już wolałbym, żeby wrohy szarpały resztki ciała, które na mnie zostały, byle nie palono mnie w krematorium. Znać przeznaczenie moje było inne, w co głęboko wierzę. Po pewnym czasie wysypały mi się wrzody na plecach i siedzeniu; w ten sposób wychodziła ze mnie ziębiona krew. Na "rewirze" dano mi taką szarą maść do smarowania, którą stosowano przy chorobie świerzbu. Ja przecież świerzbu nie miałem, ale musiałem smarować się tą maścią.

Do Dyhernfurth II przybywali nowi "cugangi"; w większości pochodzili z Radomia. Na naszej "sztubie" było ich dwóch. Lecz długo z nami nie byli.

Pewnego dnia po powrocie z fabryki nie zdążyli zjeść obiadu, wywoływano ich numery, mieli z powrotem powrócić do Gross-Rosen. Zrozumieli, że koniec z nimi, wiedzieli, że idą na śmierć. Obaj pożegnali się ze mną, bo z nimi się przyjaźniłem. Jeden z nich - starszy - był maszynistą kolejowym, a młodszy był jego pomocnikiem. Żałuję bardzo, ale nazwisk ich już teraz nie pamiętam, lecz pamiętam pobladłe ich twarze, które im się bardzo zmieniły. Wiedzieli, że za kilka godzin ciała ich spłoną w krematorium. Kogóż oni mieli prosić o ratunek? Jakież to było przykre, a zarazem przynębiające, kiedy zegnali się z nami, życzyli nam przetrwania i szybkiego zakończenia wojny oraz powrotu do rodziny. Czegoż my mogliśmy im życzyć? Chyba jedynie tego, żeby nie ginęli w męczarniach, ale nie mówiliśmy im o tym. Na pożegnanie pocieszyliśmy ich, że może tak źle nie będzie, może przeżyją. Ze łzami w oczach opuszczali naszą "sztubę". W ostatnich do nich słowach drżącym głosem powiedziałem: niech Was Bóg prowadzi. Lecz na co? - na śmierć, czy życie?

Widziałem, jak kolbami karabinów wpychali ich do auta, bijąc przy tym. Ten widok wystarczył, żeby nie spać tej nocy, bo każdy mógł się liczyć z podobnym losem, nie wiedząc, co czeka go jutro.

Jeszcze kilka szczególnych wydarzeń, których nie podałem w dotychczasowej mojej relacji. Powodem tego było moje podniecenie dotyczące obozu Dyhernfurth II. Jeżeli poprzednio wspominałem o esesmanie Weisie, to jeszcze inne szczegóły przypominam sobie. Podczas jednego wieczornego apelu Weis przeliczał blok 5-ty, to znaczy więźniów tego bloku. W pierwszym szeregu stał młody Rosjanin,

któremu zaczęło mieszać się w głowie; być może nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Rosjanin zaczął się śmiać, jak esesman Weis sprawdzał szeregi więźniów. Weis wrzeszczał: czego się śmiesz? Więzień ów nie rozumiał - wiadomo w jakim był stanie. Rosjanin powiedział, żeby nie krzychał. Esesman uderzył więźnia; ten znów powiedział: za co bijesz ty germańska mordo. Wiadomo, esesman Weis rozwścieczony bił nieustannie więźnia. Pobity więzień padł na ziemię, a esesman Weis wskoczył mu na brzuch. Widok przerażający; popękały mu wnętrzności; więzień przez całą noc robił pod siebie. Nastąpiło zapalenie, być może były jeszcze inne komplikacje; rano Rosjanin już nie żył.

Jeszcze jedno moje przeżycie w pierwszych dniach pobytu w Dyhernfurth II. Tej zimy był duży śnieg; do roboty chodziliśmy w takich tylko drewnianych "klapotach". Idąc po śniegu śnieg podbijał się pod drewnianą podeszwę, nierówno się stąpało. Spadł mi jeden "kłapek"; chciałem go podnieść, schylony szukałem go w śniegu rękami. A tu niespodziewanie kapo zaczął okładać mnie grubym kijem; uciekając zgubiłem drugi. Bez obuwia chodziłem do roboty około 14 dni. Bałem się zgłosić, że nie mam obuwia, żebym znów nie dostał bicia. Nie będę wgłębiał się w szczegóły, ale zlitował się nade mną mój majster z Köln, nazwiskiem Anton Huckebring i przyniósł mi gumowe buty; ale wiele do tego czasu wycierpiałem z zimna.

Po dokuczliwych zimnach, chodzeniu nieomal boso po śniegu, a niejednokrotnie spaniu na gołym śniegu, zaczął mi dokuczać ból krzyża i nóg, a szczególnie kolana. Były takie momenty, że nie mogłem ustać na nogach. Marsze z obozu do fabryki i odwrotnie były dla mnie bardzo dokuczliwe. Jednej soboty po południu brukowano plac wokół "starej szuby". Tę czynność miało wykonywać komando 116; w tym właśnie "komandzie" ja pracowałem. Jedni dostarczali kamienie i piasek, inni brukowali. Z uwagi na dokuczliwy ból krzyża nie mogłem się poruszać, a kamienie dowożono ręcznym wózkiem i do tego potrzebny był duży wysiłek fizyczny. Pech chciał, że kręcili się esesmani i "obersztumfführer", przyglądali się tej pracy. Wobec tego należało szybko i sprawnie pracować, a tu ból mi dokuczał nieznośnie. Podszedłem do kapo, a był nim Polak z Leszna Wlkp., poskarżyłem się, co się ze mną dzieje. Kapo, dobry starszy człowiek, widząc łzy w oczach, kazał mi wziąć młotek brukarski i brukować. Wydawało mi się, że będzie mi lżej; tak też uważał kapo. Niestety, po godzinie poczułem silny ból w kolanach, bo trzeba tę pracę wykonywać klęcząc. Ręce mi bardzo drżały i robota nie wychodziła mi. Na wielkie szczęście - zbliżał się "fajerant" ale o własnych siłach nie mogłem się podnieść. Kapo zarządził zbiórke, więźniowie ustawiali się, a ja na czworakach nie mogłem się poruszyć. W mgnieniu oka dwaj inni więźniowie podnieśli mnie, doprowadzając do szeregu. Po odliczeniu więźniów dano rozkaz rozjechać się. Stamtąd z pomocą kolegów poszedłem na blok.

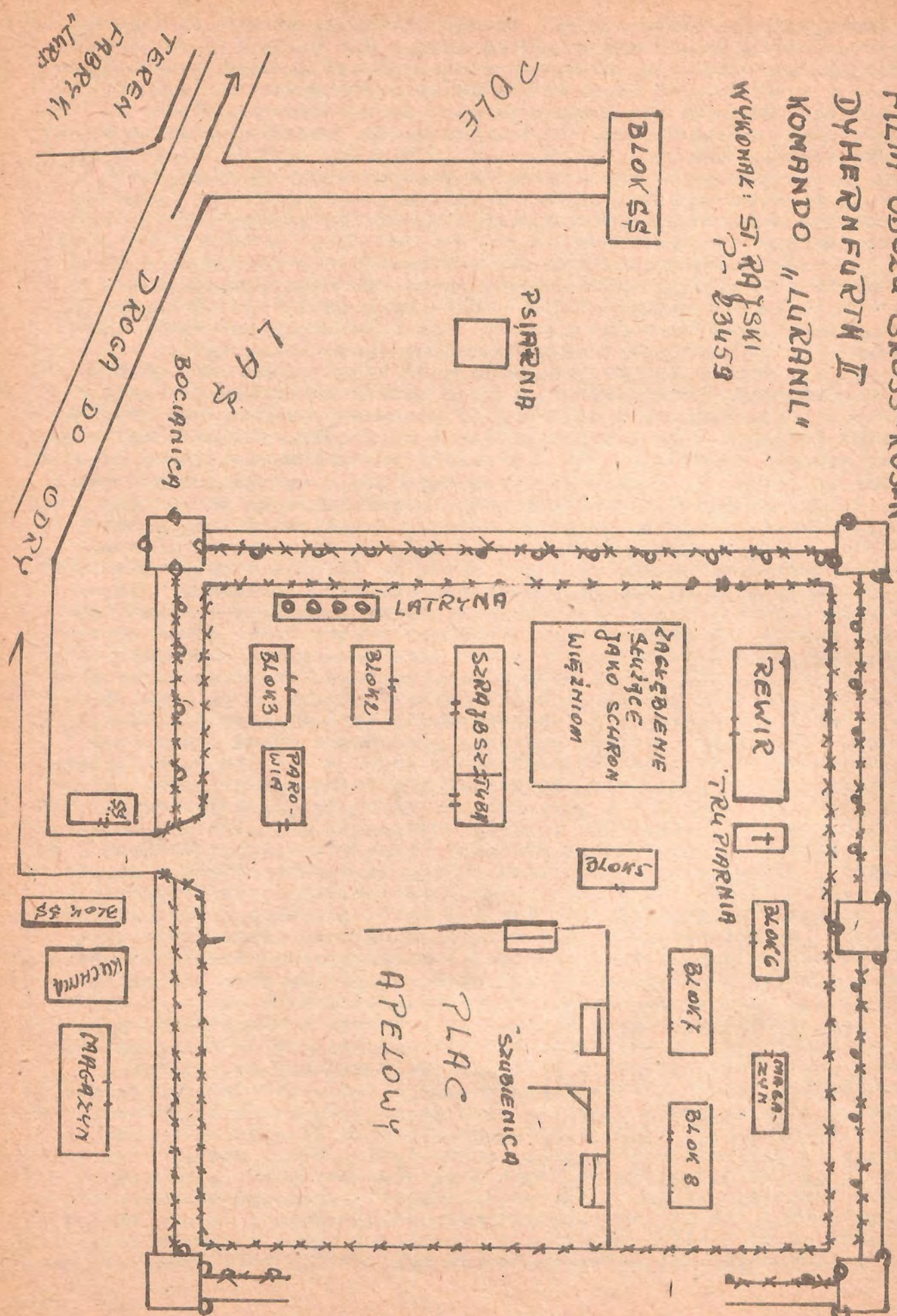
W poniedziałek poszły komanda do fabryki. Każde komando szło do swoich zajęć. Po śniadaniu wracamy do pracy, a tu niespodziewanie pękły rury gazowe na hali naprzeciw naszego warsztatu. Chmura gazu szła w naszym kierunku. Majstrowie cywilni pochwycili maski i nogi za pas - uciekli; za nimi ja zdążyłem założyć maskę przeciwgazową, gaz wdarł się do warsztatu. Uciekając za budynek warsztatu majstrowie krzyczeli: schnell hinlegen. Padłem na ziemię, przyciskając głowę do ziemi zapinałem maskę. Po przejściu chmury gazowej wszyscy majstrowie powstali, wracając do pracy. Ja zostałem, nie miałem siły się podnieść, niewiem co się ze mną działo. Kiedy cywilni majstrowie zerwali mi maskę z twarzy, silnie wymiotowałem. Więźniowie, którzy byli na tej hali, gdzie pękła

FILIA OBOZU GROSS-ROSEN

ДУНЕРНФУРТ II

КОМАНДО "ЛУРАНИЛ"

ВЫХОД: СТ. РАТНИ
Р-23459



rura, leżeli pokotem; nie wszyscy zdążyli założyć maski, kilku z nich zatrzało się na śmierć.

Nadszedł grudzień 1944 roku. Hitlerowcy pośpiesznie wywozili rtęć i inne cenniejsze rzeczy z fabryki. Wstąpiła w nas nadzieja, że już, tuż nadchodzi koniec. A końca nie było. Krótco, bardzo krótko po nowym roku 1945, bardzo wcześnie, może była 3-cia lub 4-ta rano, wpadli esesmani na teren obozu. Zarządzono rolować koce, przewieszać przez ramię i szykować się do wymarszu. Nie wszyscy otrzymali zupełę, bo kucharze nie zdążyli jej ugotować. Siała się panika wśród więźniów, którzy rzucili się na kuchnię po chleb; chleba nam nie wydali. Esesmani strasznie strzelali, formując szeregi, lecz popłoch trwał nadal. Dopiero jak zaczęły padać trupy, esesmani opanowali sytuację i natychmiast wymarsz. Pieszko pędzono nas do Gross-Rosen. Zdążyliśmy przejść most, przeszliśmy może 1 km, most został wysadzony w powietrze. Nas pędzono jak skazańców, bo przecież nikim innym nie byliśmy jak skazańcami na śmierć.

Idąc po śniegu, głodni i zziębnięci, więźniowie co słabsi padali z wyczerpania. Widzieliśmy, jak esesmani dobijali ich kolbami karabinów; nie strzelali, bo byłoby słyszać. Droga zasłana była trupami. Widzieliśmy również wojsko okopane, stanowiska maszynowych karabinów. Dzień chylił się ku zachodowi. W pewnym momencie zajęchały samochody wojskowe. Zatrzymali naszą "kolumnę"; wyskoczyli z tych samochodów oficerowie i żołnierze z bagnietami na karabinach. Budził się lęk wśród więźniów. Nie znaleźliśmy zamiarów wojska. W pewnej chwili pada rozkaz jednego z oficerów; samflige SS antreten /to znaczy: wszyscy esesmani zbiórka/. Żołnierze mieli broń w pogotowiu. Oficer krzychał doniosłym głosem; jeżeli zobaczymy jeszcze jednego trupa z więźniów, to pojdziecie na front, a ludzi bezbrónnych rozpuścimy. Patrzcie, tam są już Rosjanie. Tę co wy tu robicie, będzie zaliczone na nasze konto. Brać podwojdy i chorych ludzi wieźć wozami.

Po niedługim czasie pojawiły się sanie zbite z desek, na które wrzucano więźniów słabych, a inni musieli te sanie ciągnąć. Esesmani wyszukiwali w szeregach co silniejszych więźniów do ciągnięcia tych san, ale i oni słabli. Nastął wieczór, godziny określić nie mogę, bo i skąd. Zapędzono nas na dziedziniec jakiejś cukrowni. Nakazano położyć się na śniegu. Więźniowie zakradli się do hal cukrowni po wysłodki buraczane, które wsypywaliśmy w kałesony, by nikt nie znalazł. Jeden z esesmanów, starszy wiekiem, przyniósł menażki, kazał więźniowi nabrać syropu i sam odszedł. Inni esesmani krzyczeli: alles liegen und schlafen /wszyscy położyć się i spać/.

Śnieg topniał pod naszymi plecami i siedzeniami; potem woda zamarzła i kiedy rano wstawaliśmy w pośpiechu esesmani bili kijami, tak, że niejeden część płaszcza pozostawił przymarznięty do ziemi. Niektórzy więźniowie gubili te wysłodki, esesmani to zauważyli, bili przy tym bezlitośnie.

A ci, co byli na tych saniach, zamazli na śmierć. Na saniach było miejsce na następne ofiary, jakie padały po drodze. Ofiary grzebano po drodze i gdyby dzisiaj pójść tą drogą, każdy przekonałby się, że tym szlakiem szły kolumny więźniów na dalszą śmierć. I to do 1978 roku było tajemnicą, kto tu leży w tych grobach. Moje wyjaśnienie w Muzeum Historycznym rozwiało wątpliwości tych, którzy zadawali sobie pytanie, co tu się działo, skoro w tych miejscach jest tyle grobów.

W czasie dalszej wędrówki szliśmy przez jakąś większą wieś. Pamiętam - skręcaliśmy w prawo; po lewej stronie stał kościół;

kolumna więźniów była długa. W pewnej chwili wyszła Niemka z piekarni trzymając koszyk małych bułek, podbiegła szybko, rozsypując te bułki wśród nas. Więźniowie rzucili się, by je zbierać. Zauważył to esesman; kolbą karabinu zadał cios kobiecie w piersi; z ust jej popłynęła krew. Kobieta padła na ziemię. Co się dalej działo, nie wiem, bo esesmani strasznie nas bili, pędząc ku przodowi, łżąc nam i kopali nas jak psów. Następnego dnia wieczorem dotarliśmy do Gross-Rosen, który w tym czasie był w rozbudowie; przybyło dużo nowych baraków na stokach gór. Dopiero, jak wchodziliśmy do obozu zobaczyliśmy zrzuconych więźniów z sań, którzy w konwulsjach opuszczali ten świat. Oni już byli wolni. Inni znów, żyjąc jeszcze, unosili głowy. Nie wiem, o czym oni myśleli w tym momencie, widząc jak nasze szeregi więźniów wchodziły do bramy obozu. Może chcieli iść z nami, może prosili "zabierzcie nas ze sobą", a może "ratujcie nas"? Ale słabnąc, głowy im opadały na śnieg. Widok ten był okropny; nikt z nas nie chciał by być na ich miejscu.

Wprowadzono nas na teren nowego obozu; baraków było dużo niewykończonych. Lokowali nas, gdzie tylko mogli, chociaż baraków była cała masa. Więźniowie z Dyhernfurth II byli w pobliskich suterenach, bez podłóg. Na środku leżała słoma, na której mieliśmy spać. A ponieważ teren był górzysty, to też pod nasze plecy spływała woda. Słoma była tak mokra, że trzeba ją było podrzucać na kupkę, żeby wysączyła się z niej woda, by można się było znów na niej położyć do spania. Ja w tym czasie miałem owrzodzone plecy i pośladki. Chodziłem gdzieś w ukryte miejsca i zdzierałem strupy, bo to tak obrzydliwie wyglądało i śmierdziało. Do Gross-Rosen nadchodziły coraz to nowe transporty z więźniami. Dopiero następnego dnia posłano po zupę. Zupa była ze śrutu żytniego, lecz nie zagotowana, a tylko sparzona, a na niej unosiły się "burzyny".

Ktoregoś dnia, bardzo wcześnie rano, mogła być godzina 4-ta rano, przyszedł Holender i zabrał więźniów po zupę; zabrano i mnie. Kotły z zupą były ciężkie, tak nam się wydawało, ponieważ byliśmy słabi i głodni. Z ciężarem schodziło się po takim stromym miejscu; na dworze leżał śnieg topniejący i robiła się taka maź gliniasta; nogi grzęzły w tej mazi. Jak w tym czasie przewróciłem się, zemdlałem. Koledzy krzyczeli: kapo, kapo Stanis ist tod - /Stanis nie żyje/. Rozebrano mnie do naga i zaniesiono na stos trupów pod krematorium; lecz ja tylko zemdlałem. Po pewnym czasie odzyskałem przytomność i w ciemnościach macałem ręką, gdzie jestem. Wyczuwałem zwłoki ludzkie, wywlokłem się spod nich i na czworakach przywlokłem się na miejsce, gdzie spali pozostali więźniowie. Zanim się przywlokłem rozdano zupę. Kiedy pokazałem się w wejściu do sutereny, bo drzwi tam nie było, koledzy mówili, że wyglądałem jak świnia wybrudzona w błocie. Ja wołałem: pić, pić. Blokowy wycedził może 1/2 litra, może trochę mniej zupy; napiłem się, zdążyłem tylko powiedzieć po niemiecku do blokowego, żeby przywołał Holendra i padłem na ziemię ze słabości. Holender natychmiast przyniósł mi jakieś ubranie i namalował mój prawdziwy numer, a w dzień uzupełnił.

Tym razem w Gross-Rosen nie byliśmy długo. W obozie zaczęło robić się ciasno i jakieś niespokojne ruchy na starym obozie. Tego samego dnia zarządzono zbiórkę, przygotowanie dalszej ewakuacji; odszedł pierwszy transport w głąb Niemiec. Jak się później okazało, transport odszedł do Buchenwaldu. Ja i setki innych więźniów wyjechaliśmy następnego dnia bardzo wcześnie rano. Pędząc nas rzucono w biegu miski, potem wlałi trochę zupy, w biegu wypić, oddać miskę i na wagony. Do wagonu wpędzano po 80-ciu więźniów; część wagonu musiała zostać wolna dla esesmana i jego żony, która z nim

uciekąca. Jechaliśmy w odkrytych wagonach; z wagonów widzieliśmy, jak biła artyleria radziecka. Ognie z "katiusz" migotały po niebie. Jakże przykro nam było widzieć wolność blisko, a my - ciągle dalej i dalej w niewolę. Wiatr ze śniegiem smagał nas po twarzy; było zimno; odjechaliśmy.

Nr archiwum *Dyhernfurth, den 28. 11. 44.*
Gross-Rosen 3.6.3.55.

Der Tag der Entlassung kann jetzt noch nicht angegeben werden. Besuche im Lager sind verboten. Anfragen sind zwecklos.

Auszug aus der Lagerordnung:

Jeder Häftling darf im Monat 2 Briefe oder Postkarten empfangen und absenden. Eingehende Briefe dürfen nicht mehr als 4 Seiten à 15 Zeilen enthalten und müssen übersichtlich und gut lesbar sein. Geldsendungen sind nur durch Postanweisung zulässig, deren Abschnitt nur Vor-, Zuname, Geburtsort, Häftlingsnummer trägt, jedoch keinerlei Mitteilungen. Gelb, Fotos und Bilderbeilagen in Briefen sind verboten. Die Annahme von Postsendungen, die den gestellten Anforderungen nicht entsprechen, wird verweigert. Unübersichtliche, schlecht lesbare Briefe werden vernichtet. Im Lager kann alles gekauft werden. Nationalsozialistische Zeitungen sind zugelassen, müssen aber vom Häftling selbst im Konzentrationslager bestellt werden. Lebensmittelpakete dürfen zu jeder Zeit und in jeder Menge empfangen werden.

Der Lagerkommandant

*Liebe Frau! Ich teile Dir mit, dass ich diesen Brief auf
Anordnung des Herrn Lagerkommandanten schreibe. Ich befinde
mich im Arbeitslager Dyhernfurth, bin gesund und fühle mich wohl.
Meine Adresse für Paketsendungen lautet:*

Schutzhäftling Liskiewicz Mieczysław,

Nr. 2280, geb. 19. 1. 05

K.L. Arbeitslager Dyhernfurth

⑧ Dyhern, rh. a. d. O.

und für Brief - u. Geldsendungen ist:

Schutzhäftling Liskiewicz Mieczysław,

Nr. 2280, geb. 19. 1. 05

Konzentrationslager

⑧ Gross-Rosen / Schlesien

Es ist erlaubt Lebensmittel- u. Wäsche Pakete zu empfangen.

Ich grüsse und küsse Dich

Smutek

Exprespakete u. Einschreiben
sind verboten!

List pisany z Dyhernfurth przez Mieszysława Liskiewicza
dnia 28 listopada 1944 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.55.